

Nr 1 (48)

2012



PEGAZ LUBUSKI

ISSN 1732-1069

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

W numerze:

DROGA KRZYŻOWA
dar wielkiego serca poety
Romana Habdasa
i rzeźbiarza
GAŚIORA
dla wileńskiego Hospicjum
Siostry Michaeli Rak

*

ZABAWA W CHOWANEGO
Beaty P. Klary książką
roku 2011. Lubuski
Wawrzyn Literacki
wrócił do Gorzowa!

*

DEKALOG DOBREGO
WIERSZA (I)
Leszka Żulińskiego

*

PREMIERY 7 KSIĄŻEK
PISARZY GORZOWSKICH

Jerzego ALSKIEGO
Freda GŁODZIKA
Romana KARWACKIEGO
Henryka W. KORDONIA
Adama KORZENIOWSKIEGO
Ludwika I. LIPNICKIEGO
Anny STRZELEC

*

Nowe wiersze poetów
gorzowskich,
Róży Karcz
zza szczecińskiej miedzy
oraz satyryki, fraszki,
groteski i wiele innych
literariów lubuskich.

ROMAN HABDAS

Prolog

Ostrożnie brodzimy po
płytcźnie wiary,
gdy na głębię trzeba.
I coraz częściej zapieramy
się krzyża.

Martwym morzem jest
nasze miłowanie Ciebie,
Jezu.



STACJE DRUGI KRZYŻOWEJ
KRYŻIAUS KELIO STOTYS

Prologas

Atsargiai braidžiojame
tikėjimo seklumomis
prireikus gylio.
Ir vis dažniau išsižadame
kryžiaus.
Negyvoji jūra yra mūsų
meilė Tau,
Jėzau.

Marek Grewling STABAT MATER DOLOROSA IUXTA CRUCEM LACRIMOSA

Stała Matka obolała
Lzy pod krzyżem przeplakała

Tekst sztandarowy związany z tzw. Via Crucis i jakże odpowiedni do przeżywanego przez chrześcijan wszystkich obediencji Wielkiego Postu. Słowa przypisywane są franciszkaninowi Jacopone da Todi. Jednak w rzeczywistości autor quasi hymnu o cierpiącej pod krzyżem Maryi Dziewicy nazywał się Iacopo de Benedetti. Tak czy inaczej, imię zgadza się w obu wariantach. Na imię było mu Jakub. Życiorys miał bogaty. Poczynając od małżeństwa, po którym owdował, poprzez wstąpienie do klasztoru zakonu świętego Franciszka. W międzyczasie utalentowany mnich został ekskomunikowany i wtrącony do lochu za wystąpienie przeciwko zbyt kowi życia zakonnego tamtych czasów i osobisty sprzeciw papieżowi Bonifacemu VIII (1297). Na szczęście happy end nie jest licencją li tylko amerykańskiego kina. Gdy zmarł papież Bonifacy VIII, jego następca Benedykt XI zdjął z Jakuba ekskomunikę i uwolnił z kościelnych lochów. Niestety, przykre doświadczenia autora „Stabat Mater” z przelozonymi zakonu i Kościoła rzuciły cień na jego twórczość. Mówiąc po prostu „złe języki” zachęcane przez ortodoksów – raczej kolaborantów – przypisały jego dorobek twórczy żyjącemu wiek wcześniej

NA PRZEDNÓWKU

Przednówek (przed nowymi zbiorami) – dziś już historyczne określenie czasu liczonego na wsi pomiędzy kończącymi się zapasami żywności z ubiegłorocznych plonów, chowanych w kopcach i w spiżarniach na zimę, a okresem zazielenienia się łąk i pierwszych nowalijkowych zbiorów w nowym roku.

Czy ktoś DZIŚ widzi taki „encyklopedyczny” przednówek? Półki sklepowe pełne mleka i jajek w kartonikach. Na straganach pyszną się w kilkudziesięciu odmianach warzywa i owoce. Są ogromne truskawki w plastikowych pojemniczkach, zieloniutki szczypiorek, sałata, brokuły i bazylija. Stosy pomidorów, rzodkiewek i zielonych ogórków. Na zimowe ferie lecimy do ciepłych krajów zaczerpnąć słońca.

Mamy zimę, wiosnę czy lato? Jaki sezon w spożywczym? Kartonowo-importowy. Egzotyczno-plastikowy. Chemiczno-genetyczny. Cywilizacja i nowoczesna technologia w rolnictwie pozbawiła nas naturalnego rytmu i możliwości życia zgodnie z cyklem przyrody.

Vivaldi nie stworzyłby teraz swoich „Czterech pór roku”... (wiersz na s.13).

Dolegliwość przednówka i czas jego trwania były uzależnione od majątności gospodarzy (czyt. III lub kolejnej Rzeczypospolitej), ale także od wielkości zbiorów w poprzednim roku (czyt. PKB). U gospodarzy bogatych (czyt. RFN) było to określenie mało znaczące. Dla gospodarzy biednych (czyt. Gorzów 2012) jest to okres wymuszonego postu, podczas którego mieszczanie kupują tanią, przeceńcioną ze względu na kończący się okres spożycia, żywność, żeby mieć na bilet do Filharmonii na Vivaldiego. W ten sposób finansują działalność merytoryczną tej prestiżowej placówki, która wszystkie zabrane innym twórcom kultury, nawet literatom na dofinansowanie ich książek pisanych na chwałę miasta i przydzielone jej przez Urząd, pieniądze wypłaca orkiestrze, jej dyrygentom i obsłudze oraz pracownikom administracji i dostawcom wody, energii et cetera. Przyjdzie nam niedługo, jak to ongiś na przednówku bywało, konsumować chwasty – także te w postaci namiastek sztuki i kultury. Jeszcze biedniejsi, zwłaszcza emeryci i bezrobotni, będą zmuszeni do zaciągania pożyczek u bogatszych gospodarzy (choćby rajców), w gotówce lub w naturze, często na lichwiarskich zasadach, lub do prawie darmowej pracy (często tylko za jeden posiłek dziennie).

Ale co najgorsze, przednówek ogarnął już cały nasz kraj. Sejm i sejmiki, rząd i podległe mu urzędy wszystkich szczebli zamiast podnosić standardy bytowe swoich obywateli do norm np. zachodnich sąsiadów, cieszą się, że nasza benzyna jest jeszcze o kilka centów tańsza niż u nich. A o ile tańsze są nasze zarobki i emerytury?! I zamiast zadbać, by chuda i chora krowa gospodarki, która jeszcze jakimś cudem na przednówku mleko daje, była pod dobrą opieką lekarską, miała zasobną w „elementy” paszę – doją ją, by zaspokoić doraźne żądania „protestantów” do coraz bardziej pustych wymion, aż w końcu padnie, nie doczekawszy urodzajnego lata. Co się wtedy stanie? Rząd będzie musiał znaleźć sobie nowy naród... bo nasz wreszcie skorzysta z otwartych granic do zasobnej Europy. Może Chińczyków? Im ponoć starcza na przednówku garstka ryżu dziennie.

Ireneusz K. Szmidt

cd. ze str. 1

papieżowi Innocentemu III, w tym również „Stabat Mater”. Minęły stulecia. Przeminięły historie państw i imperiów, a potrzeba ekspresji religijnej pozostała w człowieku niezmienna. Utwór Iacopo „Stała matka boleściwa”, wykonywany na wiele artystycznych sposobów z muzyką komponowaną przez najbardziej znanych mistrzów, przybliży człowiekowi ziemne marzenie o wiecznym szczęściu, mimo cierpienia tego świata. Pragnienie szczęścia jest celem rzesz ludzi od samego początku dziejów. Chrześcijaństwo przyniosło jedną z najbardziej spójnych filozofii szczęścia wiecznego, która rozwijana w przeciągu wieków stała się jak dotąd jedną z najbardziej syntetycznych, a zarazem uniwersalnych teologii w dziejach. W chrześcijaństwie umiejętnie zostały połączone transcendencje judaizmu, Bliskiego i nieco dalszego Wschodu (mam na myśli międzyrzecze Tygrysu i Eufratu), a także elementy mitologii greckiej i teologii staroegipskiej tak nowego, jak i starego Państwa. Niewątpliwie ten synkretyzm – nie mylmy go z chaosem i bezwolną wielowątkowością – stanowi źródło i siłę uniwersalizmu tej teorii. Via Crucis – znana nam jako Droga Krzyżowa – to jeden z filarów teologii chrześcijańskiej. Oto dobry Bóg podjął się dzieła, które ustanawia zarazem drogowskazem dla swoich uczniów. Mówi o tym święty Paweł z Tarsu (nb. hebrajski teolog pragnący uniwersalnej religii dla wszystkich narodów) w drugim rozdziale swego Listu do Filipian w hymnie o kenozie (gr. unizeniu). To hymn o Bogu, który „ogłosił się / ... / przyjął postać sługi / ... / unizył samego siebie / ... / stał się posłusznym do śmierci i to śmierci na krzyżu...”. Jest to także lustrzane odzwierciedlenie przeciętnych ludzkich losów na tym świecie, lustrzane odbicie naszych, jakże często bolesnych losów. Jednak Hebrajczyk z Tarsu nie pozostawia w niepewności swoich czytelników i współwyznawców zarazem. Mówił jakby: „Owszem, życie jest ciężkie, a czasem wręcz straszne, ale wiedz, że twój Bóg miał tak samo, cierpiał i umarł za ciebie, przyjął na siebie twoje losy, żeby pokazać, że jest całkowicie po twojej stronie”. Dalej święty roztacza wizję obietnicy, jaką Bóg daje tym, którzy stali się wyznawcami jego prawdy o kenozie: „Dlatego Bóg go ponad wszystko wywyższył”, a wyznawcy otrzymają udział w tym wywyższeniu. Oto jest przyczyna wielkiej popularności misterium Drogi Krzyżowej, drogi ostatecznego ziemskiego unizenia Boga-Człowieka. Jej genezy doszukujemy się w liturgii jerozolimskiej. Do Europy przynieśli ją franciszkanie. Ilość stacji Drogi Krzyżowej, czyli historii ostatecznego aktu kenozy Chrystusa, została sprowadzona do czternastu dopiero w XVII wieku. Oczywiście na „drodze” nie mogło zabraknąć człowieka najwierniejszego z wiernych, którym była Maryja matka współcierpiąca, najwierniejsza z wiernych naśladowców swego Syna, a zarazem Boga Zbawcy, wzór dla uczniów i apostołów. Nośność tego obrazu jest niesłychana, co przelożyło się na popularność nabożeństwa i jego

reminiscencje w każdej dziedzinie sztuki. Dlatego wczytując się w rozważania Drogi Krzyżowej, odnajdujemy swoje własne życiorysy, odnajdujemy osobiste cierpienie i własne nadzieje. A nadzieje ludzkie od wieków są podobne. Sprowadzają się do nadziei na szczęście wieczne, czy też nadziei, że warto przeżyć życie tak, żeby nikt nie kwestionował sensu naszego losu, który wszak napiętnowany znamieniem cierpienia, ma sens dzięki afirmacji danej z niebios i to niebios współuczestniczących w naszych ziemskich zmaganiach. Wprawdzie owe „Niebiosia – Bóg” nie obiecują człowiekowi doraźnych rozwiązań w wymiarze ziemskim, jednak gwarantują pozytywne rozwiązanie problemu cierpienia i wszelkich innych ziemskich kłopotów w wymiarze wiekuistym – czytaj: zbawienie. Ostatecznie nabożna praktyka Drogi Krzyżowej jest zarazem nadaniem sensu ludzkiej doli, takiej jaka ona jest, a Mater Dolorosa jest afirmacją i aktem przymierza między doskonałym i zbawiającym bóstwem a człowieczeństwem, które dzięki temu przymierzowi może osiągnąć – normalnie nieosiągalne – progi doskonałości.

Marek Grewling

Droga Krzyżowa

Kryžiaus kelio stotys

wyrzeźbiona przez Gąsiora dla wileńskiego hospicjum, którego otwarcie siostra Michaela Rak przewiduje w czerwcu b.r., jest już w drodze do Wilna. Szkoda, że artysta przed podróżą nie wystawił jej w Gorzowie. Jest piękna w swojej szlachetnej prostocie, od dawna cechującej prace tego rzeźbiarza i poety. Uczestnicy imprezy promocyjnej „Pegaza Lubuskiego” 6 marca zobaczą na zaimprovizowanej jednorazowej wystawce siedem Stacji, które autor na moją prośbę specjalnie dla naszych czytelników rozpakował opóźniając o jeden dzień ich wysyłkę do Wilna. Gorzowianie będą mogli w Wielkim Tygodniu otrzymać ją w kościołach za datek „co łaska” na rzecz hospicjum, w postaci unikatowej książeczki wydanej przez Wydawnictwo „Sonar Literacki”.

Poetyckimi rozważaniami na temat XIV Stacji Męki Pańskiej z prologiem i epilogiem dzieło Gąsiora opatrzył jego przyjaciel, poeta Roman Habdas, a na język litewski przełożył Kazys Linka.

Róża Czerniawska-Karcz

* * *

symbole symbole
na świątecznym stole
rozkladam co roku
wersy wielkanocne
i wije z nich koszyczek
wiosennych świeżych życzeń

mają go nadziei listkami –
bukszpanem
z wonią goryczki
cierpką jak oczekiwanie

woskuję słów skorupki pisanek
kraszanek
i wkładam między kartek
krochmaloną pianę

pośród nich zawsze leży
bieluśki baranek
znak ofiary i wiary
w Pańskie Zmartwychwstanie

chleba kromkę położę
z plastrem szynki w parze
jak sacrum i profanum
ślub troski z radością

koszyczek przyozdobię
lilią wielkanocną
żonkilem świeżo rozkwitym
– Alleluja!
wzniosłe...

I. Sąd Pilata

Potykać się w życiu
oskarżam i wyrokuję.
Później mówię:
moje ręce są czyste.

Brudów mojego wnętrza
nie widać gołym okiem.
„A czyste ręce
nie są świadectwem
czystego sumienia”.

Piloto teimais

Gyvenime klupdamas
kaltinu ir smerkiu.
Paskiau sakau:
mano rankos yra švarios.

Sąžinės nešvarumai
nepastebimi plika akimi.
„Švarios rankos
nerodo švarios sąžinės”.



Lubuskie Wawrzyny 2011

W Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze w dniu 23 lutego br. odbyła się gala wręczenia laurów za najlepsze książki literackie i naukowe. Laureatką XVIII Lubuskiego Wawrzynu Literackiego została Beata Patrycja Klary z Gorzowa Wlkp. za poetycką książkę „Zabawa w chowanego”.



fol. Małgorzata Pieczyńska

Po raz siódmy został wręczony Lubuski Wawrzyn Naukowy. Nagroda została przyznana Danielowi Kotelukowi za książkę „W nowych realiach. Wieś zielonogórska w latach 1945 – 1956”.

Laureaci Lubuskich Wawrzynów otrzymali nagrody pieniężne oraz srebrne pióra autorstwa artysty plastyka Anety Pabjańskiej-Moskwy.

Oprócz nagród głównych przyznano również Honorowy Wawrzyn Literacki za całokształt twórczości, który trafił do poety i krytyka, wielokrotnego przewodniczącego Kapituły Wawrzynów, Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza. Dyplomem za debiut literacki wyróżniono Paulinę Korzeniewską, natomiast wydawnictwo Atelier RED FROG nagrodzono za walory edytorskie. Dyplom za najlepszą książkę popularnonaukową przyznano Wiesławowi Łabęckiemu i Stefanowi Pilaczyńskiemu za „Alfabet gubińskich ulic”.

W części artystycznej wieczoru w Sali Dębowej wystąpili aktorzy Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie Wlkp. w poetyckim spektaklu „Żegnaj książkę” opartym na tekstach Zbigniewa Herberta.

Konkurs przebiegał pod honorowym patronatem Wojewody Lubuskiego Marcina Jabłońskiego, Marszałka Województwa Lubuskiego Elżbiety Polak, Prezydenta Miasta Zielona Góra Janusza Kubickiego.

Beata Paszkowska

Zabawa w chowanego, czyli ból zapośredniczony

Tomik „Zabawa w chowanego” Beaty Patrycji Klary ukazał się jako tom VII w serii Biblioteka Współczesnej Poezji Polskiej „Zeszytów Poetyckich”. Jest cyklem trenów napisanych po śmierci ojca poetki. Już motto wskazuje na literacką tradycję i odsyła do „Trenów” Kochanowskiego. Tam ojciec oplakiwał córkę, tu – córka oplakuje ojca. Zbiór dzieli się na 6 części, stanowiących schemat kompozycyjny tego gatunku, tutaj nieco zmieniony (wyjawienie przyczyny bólu, oplakiwanie, wyliczenie zasług, pocieszenie, przyzwyczajanie się, przeistoczenie). W sumie 21 utworów w 5 pierwszych częściach i 7 w ostatniej części. Trena Klary zostały napisane od razu po śmierci ojca, pierwszy utwór sięga jeszcze ostatnich chwil poprzedzających tragiczną wiadomość. Brak dystansu czasowego, który umożliwiłby także dystans emocjonalny czy intelektualny, każe spodziewać się wierszy przepelniętych bólem, cierpieniem, rejestrujących na świeżo przeżycia poetki. I tu od razu pierwsze zaskoczenie: nic z tych rzeczy – nie znajdujemy w tych trenach wywnętrzania się, żadnego ekshibicjonizmu emocjonalnego. Od pierwszych słów uderza chłód zdań pojedynczych, sprawozdawczy ton. Kończy się dzień, w którym coś powinno się stać. Dzwoni telefon: ojciec nie żyje. Ta poezja to niemal proza, głównie ze względu na szerokość frazy, w wersie mieszczą się 2, 3 zdania (z zastrzeżeniem, że nie dotyczy to wierszy z ostatniej części). Powoduje to efekt szorstkości, „niepoetyckości”. A jednocześnie zapisane doświadczenie śmierci staje się właśnie literaturą, nie dziennikiem uczuć.

Cykl zaczyna się opisem dnia, w którym to się stało, obrazem autorki podglądającej na YouTube Monikę Bellucci – pramatkę i kochankę przyszłości. Odtąd obraz łona, przywodzącego na myśl rodzenie, pojawi się jeszcze kilkakrotnie, łącznie ze wspomnieniem o rodzicielstwie samej poetki. Kontekst narodzin zdaje się koniecznie dopełniać sytuację umierania, pozwala od razu na chłodniejszy dystans umysłowy, zapośrednicza doświadczenie, przenosi je od razu w sferę konwencji literackiej. Dalej następują opisy pogrzebowych obrzędów, zmaganie z ich obcością, kontrastowanie wspomnień o ojcu z obrazem jego martwego ciała, mieszanie rejestrów – wysokiego i niskiego, łączenie tego, co w potocznym odczuciu poetyckie, z tym, co niepoetyckie (jeśli w poezji XXI wieku w ogóle jeszcze obowiązują takie rozróżnienia), mocne obniżenie tonu – a wszystko razem musi powodować od czasu do czasu grymas wstrętu na twarzy czytelnika. Po co? Żeby wyrwać na chwilę z literackich przyzwyczajień, poigrać ze spodziewanym horyzontem czytelnicznych oczekiwań. Poetka jest w końcu świadoma konwencji literackich, jej rozmowa z tradycją jest aktywna i twórcza. I między bajki można włożyć zwierzenie: *Nie wiem, co wypada lub czego / nie wypada pisać.*

Beata Patrycja Klary dobrze wie, co wypada, przynajmniej w granicach gatunku, ale – gwizdże na to. Dalej powie: *Mówią, że to za wcześnie, że powinny minąć lata / bym mogła o tobie pisać. Szczerze, gównu mnie to obchodzi.*

Najbardziej przekonujące w tych wierszach są te miejsca, w których do głosu dochodzi konkret wspomnień i zderza się z *brakiem* w teraż-



II. Przyjęcie krzyża

Współczuję Jezusowi.
Dlaczego jednak czyjeś
kłopoty obciążają moje
barki?

Kiedy przychodzi pomoc,
nagiąć kark na miarę krzyża
z dwóch wykalacek,
użalam się nad sobą.

Priima kryžių

Užjaučiu Jēzū.
Bet kodēl kieno nors
vargai slegia mano pečius?

Prيرهikus padēti, palenkti
sprandā po kryžiumi
iļ dviejū degtukū,
imu savęs gailētis.

niejszości: *Tylko stare zegarki, które / zbierałeś zachowują formę – są. / W ich porysowanych szkiełkach widać / twoje skupione oko. Reperujesz czas.*

Elegijność jest więc koniecznym składnikiem tomu. Przekonuje mnie także stosunek do rzeczy: zaufanie do przedmiotów – martwych, a jednak przeżywających nas. Rzeczy pozwalają się odgrodzić od tego, co obce i straszne, co grozi pustką albo nie wiadomo czym. Są znajome, bliskie, można w nie uciec, są w końcu bardziej odważne od nas – *koc otuli martwe ciało, gdy człowiek nie ma odwagi.*

Autorka wraca myślami do spędzanych z ojcem chwil, przypomina sobie szczegóły jego wyglądu, charakterystyczne gesty, obserwuje rzeczy przez niego pozostawione i traktuje je jak znaki, ślady, tropy, próbuje odczytać z nich wiadomość przeznaczoną tylko dla niej. Draży tajemnicę umierania, odchodzenia w niebyt – to się nie staje w jednej chwili, ale trwa: zaczęło się dawno i skończy się wraz z naszym przyzwyczajeniem się do czyjejs nieobecności. Uchwycenie śmierci jako długiego procesu, rozpiętego w czasie, jest tu na pewno dokonaniem poetki. Zarazem te wiersze z całej siły przeciwstawiają się temu, wyrastają z buntu, niezgody, pragnienia zatrzymania czegoś z tego życia, które odchodzi nieuchronnie w zapomnienie. No właśnie, czy nieuchronnie? Wiersze przekonują, że można próbować ocalać od śmierci rzeczy i ludzi oraz że poezja, sztuka to jedyny na to sposób.

Nie przekonuje mnie natomiast sztafaż współczesny – YouTube, komórki, kosiarki, płyty, dzinsy Levi’s Curve 05800 strągh – trochę zbyt natrętny, jakby mnie miał zapewnić, że to jest naprawdę poezja współczesna, naprawdę na miarę XXI wieku. Dużo bardziej współczesne od Internetu i telefonów komórkowych w poezji Klary są ostre zderzenia obrazów, mieszanie języków pochodzących z różnych odmian stylistycznych, traktowane na równi cytaty innych poetów, jak i członków rodziny na przykład. Niektóre skojarzenia zdają się ponadto mocno przeintelektualizowane, wysilone:

[...] Uciekleś jednak za szybko jak na życie komórki matczynej. Zaledwie rok po cor ultimum moriens matki. A może tylko pobiegłeś za głosem. / Ponoć każdy ma swoją Lorelei, za której śpiewem odchodzi w nieznanie. Trochę jakby z obrazów / Fridy Kahlo. Widziałam te kobiety z Martin-Gropius-Bau w Berlinie. Jedna mogła być twój / przewodniczką i oderwać cię od mumifikowania resztek.

Ich funkcja jest jednak dla mnie oczywista – zapośredniczają doświadczenie śmierci. Denerwują trochę gry słowne: *córka przerosła ojca. / A teraz wszystko przerasta córkę.*

czy: mecz śmierci Anglia : Niemcy. Już widzę, jak krzyczałbyś prawie bez czucia. Za wcześniej przegrałeś / swój mecz,
a także: *Abonent czasowo niedostępny. A jednak ludziłam się, że może odbierzesz, że tylko chwilowo / jesteś poza zasięgiem.*



Zgrzyt wydaje się nieunikniony. Niezręczność czy zabieg zamierzony na efekt? Trudno dociec. Zwykła brzydota i banalność sformułowań mieszczą się przecież w zasobie środków współczesnej poezji, bywają przedmiotem gry. A skoro już o grze mowa, tytuł: „Zabawa w chowanego” już jest tego wyrazem. Bo chowanie znaczy tu tyle, co pochowanie, jak w wyrażeniu: pochować kogoś. Oksymoroniczny tytuł zapowiada więc gry z tradycją literacką, językiem. Ich funkcja nie zawsze jest jednak dla mnie jasna.

Mając w pamięci „Treny” Kochanowskiego, szuka się mimowolnie w tych utworach śladów tamtej problematyki: kryzysu wartości, fundamentalnych pytań o sens życia, Boga, świat nadprzyrodzony. Człowiek Beaty Patrycji Klary jest zredukowany do materii, to komórka macierzysta, tlen i białko w naczyniach, a po śmierci – sadza. Jako zmarły nie przychodzi w snach, nie istnieje, chyba że na starych fotografiach, w listach. Świat bez Boga i dalszego ciągu zdaje się zyskiwać tu na tragiczności – ludzka samotność jest samotnością bezwzględną, okrutną i ostateczną. Nie ma pocieszenia. Człowiek jest tylko póty, póki jest – tu, na ziemi. Jego życie pozagrobowe to życie w pamięci tych, którzy go kochali i – życie w sztuce. Ostatnią częścią trenów jest bowiem transformatio – przeistoczenie. Córka oddaje tu głos ojcu, który mówi do niej we śnie z dziwnych, kamiennych zaświatów – kolebki cywilizacji? Prapoczątku? Ojciec czule wspomina swoją małą dziewczynkę, jej zabawki, zwyczajnie, wspólnie wykonywane czynności, rozbite podczas skoku kolana. To on nauczył przyszlą poetkę sylab i artykulacji. Tu dopiero następuje właściwe pocieszenie – przecież to córka chce być pamiętana przez ojca, nie zginąć razem z nim w jego śmierci. Następuje charakterystyczne przesunięcie. Dopiero mowa ojca jest ostatecznym pożegnaniem. Uposażony, zmarmurzony, zastygły w kamieniu – uklasycznia się, oczyszcza z przypadkowości, wywyższa nad doczesność. Końcowe wyciszenie zostawia nas w atmosferze pogodzenia i akceptacji. Ostatni obraz stanowi kompozycyjną klamrę razem z początkowym – znowu widzimy poetkę, pochyloną – tym razem – nad kartką. Dopiero jej poezja nadała ojcu prawdziwe życie, ciało było tylko nieporozumieniem. Udało się jej to, co i Kochanowskiemu – ocalenie zmarłej osoby przed ostateczną śmiercią.

Treny Klary to dobra poezja, współczesna próba zmierzenia się ze śmiercią, odnowienia języka poezji żałobnej. I chociaż czepiam się szczegółów, noszę inną wizję świata, wiersze te polecam szczerze i bez zastanowienia do kilkakrotnego, powolnego, spokojnego czytania. Jest o czym myśleć.

BEATA PASZKOWSKA

(recenzja także na Bookz nami.pl)

III. Upadek I

Znam prostą drogę
Dziesięciu Przykazań,
a wybieram pobocza
i wertepy.
I upadam.

Kiedyś było mi z Tobą
bardziej po drodze,
Panie.

Parpuola I

Žinau paprastą Dešimties
įsakymų kelią,
bet renkuosi šalikeles
ir netikrus takus.
Ir krentu.

Kadaise man buvo pakeliui
su Tavimi,
Viešpatie.



Krystyna Caban**Głupia**

za pękniętym murem
życie toczy się jak co dzień
przed murem tłum gapiów

na drzewie małpka
woła o pomoc
nikt jej nie widzi
nie słyszy

mur dzieli
codzienność i gapiów

małpka zdechła
nie usłyszała
taka mała, taka ładna
kochana

mur jęknął
szczelina powiększyła się

Klepsydry

nie odwrócona
nie zatrzymuję czasu
wiem, nie mam go za wiele

dawno temu garściami
ziarenka piasku
przesypywałam
teraz w jednej się zmieści

więc każdy świt
chwytam w garść

omijam jak długo się da
czarne tablice
na których wieszają...

Krystyna Zwolska

Samotność milczy
kurzem kłamki okrywa
świat bez kolorów

Wylewność uczuć
pomalowana farbą
obraz malarza

Przeplątam co dnia
nici babiego lata
zawsze w złą stronę

Obracam myśli
rozbudzone tęsknotą
w kierunku lustra

Wiejski kościółek
w nim dusza rozmodlona
sięga sklepienia

W starym albumie
wyblakłe życiorysy
ślady bez kroków

Ciemniej fale
słońce oddech wstrzymało

Okruchy słońca
porywem wiatru tańczą
na grzbietach fali

HAIKU

Teatr bez krzeseł
zaciągnięta kurtyna
widownia sceną

Już lez nie ronię
ciszą okrywam słowa
a ty wciąż milczysz

Zapalam światło
nie rozprasza ciemności
do gwiazd mnie zabierz

Rozgrzane słowem
serce z kamienia spadło
rozbilo pustkę

Jesienią życia
odczytuję wspomnienia
oczyszczone z rdzy

Głos fortepianu
odczarował głuchego
misterium dźwięków/
zmysłów

Układam swój świat
z kartek niezapisanych
w zakątku ciszy

**IV. Spotkanie
z Matką**

Gdy oddalony bywam
od domu

i kiedy blisko,
Ty, Matko, zawsze
nieustającą pomocą.

Dobrze, że jesteś.

Sutinka Motiną

Kai nutolstu nuo namų ir
kai esu šalia jų,
Tu, Motin, visada esi
nepailstama
parama.

Gerai, kad esi.

Z. Marek Piechocki**Z cyklu „TEKSTY INSPIROWANE”**

1.
 chwila dumna z tego że przychodzi nagle
 i trwa okrutnie krótko
 drwi z tych które za nią
 kpi z nadbiegających
 jest
 trwa
 wydłużając niekiedy okrutnie krótko
 na całe lata
 (to co zdarzyło się w jakiejś chwili jest ciągle
 tym samym ułamkiem czasu i jak wynik z CA
 nie przestaje być)
 mówimy wtedy niech już się skończy
 jest też którą chcemy wydłużać w nieskończoność
 kupując ją słowem
 trwaj

2.
 poeta doskonale dogaduje się z pustką
 i wbrew przyjętym normom czerpie z niej
 przez całe życie
 bo jakże rozumieć że słowa zwykłe układane
 na bieli kartki tworzą
 co trzeba na nowo poznawać
 rozumieć
 więc wiersz
 inni piszą list donos monodram
 opowieść o Macondo
 z tego co wiedzą

*(Inspiracją były pierwsze wersy z wierszy Anny M. Musz
 „Iluminacja” i „Laurka dla naszych pustkowi”)*

Tomasz Korbanek**List do Pana Boga**

Widywaliśmy się dość często
 przy wdzięcznej muzyce grzechotek
 gdy uśmiechając się próbowałeś
 wytłumaczyć dziecku
 co to jest życie.

Z uwagą
 wsłuchiwałeś się w skargi
 dorastającego chłopca
 zagubionego w tłumie.
 Zawsze mawiałeś
 że dla Ciebie
 nie ma nic niemożliwego
 a ja błady przeżywałem
 pierwsze zderzenia
 z rzeczywistością.

Dzisiaj
 czas zrobił swoje.
 Przybyło mi drobnych zmarszczek
 i grzechów
 jak grzybów po deszczu.
 Ale to dopiero początek
 wspólnej podróży w nieznane.
 Jestem jeszcze zbyt słaby
 jak ziarno potrzebujące
 odrobiny wilgoci i światła
 by przetrwać.

**V. Szymon
 Cyrenejczyk**

Lamentując nie ulżę
 człowiekowi, którego życie
 złożone
 w rękach Boga.

Uginając kolana, modlitwą
 pomogę przejść przez
 ściernisko cierpienia.
 Wprost do Światła
 Światłości.

**Simonas
 Kirenietis**

Raudodamas
 nenuraminsiu žmogaus,
 kurio gyvenimas atiduotas
 į Dievo rankas.

Lenkdamas kelius malda
 padėsiu pereiti kančios
 ražieną. Tiesjai
 Amžinosios Šviesos link.



Dekalog dobrego wiersza (I)

Przykazanie pierwsze: wiersz musi być wyrobem rzemieślniczym.

Znaczenie rzemiosła w sztuce zanika, ale niemożliwe, by zanikło do końca. Rzemiosło w poezji to doskonale opanowanie tworzywa. Tak jak tworzywem muzyki są dźwięki, malarstwa – farby i barwy, rzeźby – kamień lub drewno, tak tworzywem poezji jest język. Poeta musi panować nad językiem jak szewc nad kopytem. Musi znać język, „czuć” język, posiadać tzw. wyobraźnię i wrażliwość językową. Poeta to ktoś, kto swoją autoekspresję (czyli siebie) wyraża wyłącznie poprzez język. Czy można to robić nie radząc sobie z językiem? Dlatego tak bardzo denerwują mnie u „młodziży poetyckiej” błędy ortograficzne, gramatyczne, stylistyczne, składniowe, frazeologiczne... Nie można rzeźbić w języku, skoro nie zna się jego słoików i faktur. Tworzywo trzeba opanować do perfekcji.

W pojęciu rzemiosła kryje się więc „inklinacja językowa”, „talent językowy” (np. u prozaików jest to tzw. „dar narracji”), ale też wiedza na temat poezji, literatury, tradycji, awangardy... jednym słowem, poeta musi wiedzieć, w jakiej przestrzeni się porusza, na jakim boisku gra swój mecz. Dobry poeta wybierając swój genre umie także swobodnie napisać wiersz rymowany, fraszkę, limeryk, parodię itd., umie „bawić się” formą, robić z „wierszowaniem” mniej więcej to, co żongler robi z piłeczkami na cyrkowej arenie. Umie – dlatego, że jest rzemieślnikiem słowa; panuje nad językiem o wiele bardziej niż każdy inny, „pospolity” użytkownik tego języka.

Istnieje jeszcze inne pojmowanie owego „rzemiosła”. Ono wynika z powiedzonka Witkacego: poeta niczym nie różni się od szewca, szyje takie same buty, tyle że z własnej skóry...

Taka w tym mądrość, że trzeba umieć coś uszyć, a owa „własna skóra” to nic innego jak Stachururowe „życiopisanie” – czyli przetwarzanie własnego losu na język literacki.

Przykazanie drugie: wiersz powinien być nowatorski.

Uzależnienie od minionych form i formuł jest – uzależnieniem! Wtórnością i epigoństwem. Gdybyśmy nadal pisali np. językiem Mickiewicza – pozostalibyśmy w epoce Mickiewicza, choć świat jest już w zupełnie innym miejscu. „Obowiązkiem” każdego pokolenia literackiego jest wniesienie do literatury własnego języka. Ktoś powiedział, że jeśli nawet istnieje tylko jedna prawda o świecie, to istnieje nieskończona wielość jej sformułowań. Zadaniem każdego poety jest „własne sformułowanie” prawdy, jaką chce wyrazić. Iksiński nie powinien pisać Mickiewiczem, Norwidem, Leśmianem, Tuwimem, Przybosiem, Białoszewskim... – powinien „pisać Iksińskim”. Znaleźć swój niepowtarzalny styl, swoją formułę, swój model. Być oryginalnym.

Prawdziwa sztuka poetycka bardziej musi przypominać budowanie zamków z piasku niż piaskowych babek – z foremek.

Walent nowatorstwa nie oznacza obowiązku awangardyzmu. Awangarda to nieco inne pojęcie. Nowatorstwo to „własność”, „samodzielność języka”, która może nawiązywać do takiej czy innej tradycji, ale równocześnie odnosić się do niej twórczo, a nawet „przetwórczo”. Nowatorstwo stoi na antypodzie epigoństwa.

To „przykazanie” wywołuje wciąż żywy i nieustannie podnoszony dylemat: czy wiersz współczesny może być rymowany? Czy dzisiaj obowiązuje już tylko wiersz nieregularny, niesylabotoniczny, biały? (Jeśli nie wiecie, co to „sylabotonicizm” czy „wiersz biały”, to nie posiadacie „dyplomu czeladniczego” w poetyckim rzemiośle i odsyłam do przykazania pierwszego). Przyznaję: to trudny dylemat. Wszystkie regularne miary wiersza zostały tak wyeksploatowane, że są jak bieda-szyby, w których trudno już znaleźć coś nowego. Poza tym w epoce wiersza „postnorwidowskiego” czy „poststróżewiczowskiego” trudno wracać do konwencji wiersza „tetmajerowskiego” czy „tuwimowskiego”. A jednak zdarzają się bez przerwy tomiki, które udowadniają wielkość rymu. Dla mnie dwa klasyczne przykłady z niedawnych lat to „Mapa pogody” Iwaszkiewicza i „Zachód słońca w Milanówku” Jarosława Marka Rymkiewicza. Poezja Wielkich



VI . Weronika

Łamię prawo, czynię
zło. Szargam swoje
oblicze,
które z profilu i en face
sfotografowane
i dołączone do akt.

Na chuście Weroniki
twarz sprzedanego.
Za garść srebrników.

Veronika

Pažeisdamas įstatymą darau
bloga. Dergiu savo veidą,
fotografuojamą
iš šono ir iš priekio,
dedamą į bylas.

Ant Veronikos skaros
veidas parduotojo.
Už sidabrinį saują.

Rymów. Uważam jednak, że to już tylko realizacje wyjątkowe. Współczesna poezja ewoluuje – wraz z rytmem współczesnego życia i współczesnej sztuki – w model „antydekoracyjny” (chciałoby się powiedzieć: antysecesyjny), i wszelkie „tradycyjne zdobnictwo” (np. rym i rytm) odchodzi do lamusa. Język poezji stał się bardziej kolokwialny, prosty, zbliżony do języka prozy oraz „zwyčajnego życia” i na tych obszarach jest więcej „do odkrycia” niż poprzez „mowę wiążaną”.

Wolę poetę, który mniej doskonale pisze „dzisiejszym językiem” poezji niż „językiem starych mistrzów”. Nowatorstwo to oderwanie się od zastanych standardów. To zawsze było w sztuce trudne. Ale i najcenniejsze.

I jeszcze jeden negatywny aspekt „mowy wiązanej”, a w szczególności rymu: tak trudno osiągnąć jego maestrię i nie popaść w naśladownictwo tradycji, że dzisiejsze „rymowanki” najczęściej zdradzają... grafomana. Grafoman utożsamia rym z poezją. Coś, co się rymuje – automatycznie jest wierszem. Otóż nie bardziej mylnego. Rymowany wiersz sylabotoniczny rzeczywiście przez całe epoki królował, w żywej pamięci obecnych pokoleń przetrwał w postaci modelu „wiersza postskamandryckiego”, jednak minęło dostatecznie wiele lat i powstało dostatecznie wiele wybitnych wierszy, które udowadniają, że poezja nie tylko znakomicie obchodzi się bez rymu, ale właśnie bez niego weszła w swój współczesny etap.

Przykazanie trzecie: wiersz dąży do odkrywczości, gardzi banałem.

Ach, jakież to trudne! Jak łatwo natomiast pisać o sprawach oczywistych okrągłymi zdankami.

Język dla dobrego poety jest jak klucz, który otwiera zaryglowane drzwi wiedzy i uczucia. Język musi coś odkrywać.

Na tę okoliczność posługuję się od lat anegdotą Rogera Callois, którą otworzyłem felietony Flazoleta z Farlandii – anegdotą o żebraku z brooklyńskiego mostu, któremu jakiś pomysłowy przechodzień starł z tabliczki zawieszonej na piersiach nic nieznaczący napis „Jestem ślepy od urodzenia” i w tym samym miejscu napisał: „Przyjdzie wiosna, a ja jej nie zobaczę”. Oto właśnie genialny przykład, jak można

walczyć z banałem. Jak język poetycki może być odkrywczy i znaczyć inaczej niż np. język prostych komunikatów.

Banał kryje się najczęściej nie „w rzeczy”, a właśnie w „mówieni o rzeczy”. Poeta może posiadać tę siłę, że przechodząc obok „rzeczy prostych” dostrzeże w nich „rzeczy skomplikowane”. Odkryje w nich prawdę ukrytą przed zwykłymi śmiertelnikami. Np. Wisława Szymborska powiedziała coś genialnie prostego i wstrząsającego o „kocie w pustym mieszkaniu”, powiedziała to w taki sposób, że ten właśnie wiersz stał się sławny.

Największym „wilczym dołem” z banalami jest erotyk. Gatunek stary jak świat. Tyle już napisano o miłości, że dorzucić coś nowego, coś własnego to wręcz niemożliwe. I te banalne konwencje, np. postmłodopolska egzaltacja lub szczebiotliwe tonacje... Młodzi poeci najczęściej nie wiedzą, że miłość to coś bardzo trudnego, to często walka i dramat; toną w słowach zwietrziałych i w banałach, które rozwieje im za chwilę samo życie...

Poetą niebanalnym jest ten, kto powie coś nowego, coś odkrywczego nawet o sprawach zwykłych.

Przykazanie czwarte: wiersz musi być autentyczny i wiarygodny.

W wierszu niesłychanie łatwo wyczuć pozę, drapowanie uczuć, udawanie, wchodzenie w nie swoje buty... Poeto, bądź sobą! „Tylko” i „aż” sobą! Za jakąkolwiek kotarą cudzości się ukryjesz, czytelnik przebije cię szpadą jak Hamlet Poloniusza.

W wierszu fałszywie brzmią słowa wydumane, pisane na wyrost, niemające związku z autentycznym przeżyciem i doświadczeniem, z osobistym doznaniem, z tym, co naprawdę boli. One „szeleszczą papierem”. Mądry poeta wchodzi w „swoją rolę”, a nie w „rolę poety”. Prawdziwy poeta nie uprawia zakładania masek – uprawia ich zrywanie. Do bólu, do kości chce przeświecić siebie, co jest radykalnie odmiennym zajęciem od pozowania.

Czy poeta może brzmieć niewiarygodnie? Tak. Jeśli np. czytam wiersz 17-latka, który drapuje swe szaty na wzór antycznego filozofa, mówi językiem napuszonym, wymyśla dramaty, jakich na pewno nie przeżył... to wiem, że „coś

VII. Upadek II

Spieszę się, odwracam głowę. Obok tak wielu, niech pomogą.

Wystarczy pochylenie, gest. Jak trudno zostać Samarytaninem.

Parpuola II

Skubu, atsigrežiu. Šalia tiek žmonių, tegul padedą.

Tereikia pasilenkti, užtenka mosto. Kaip sunku tapti samariečiu.



tu nie gra”. Wiem, widzę to gołym okiem; fałsz i poza są w wierszu halaśliwe.

Pamiętajcie: buty musicie szyc z własnej skóry; nie ratujcie się inną.

Przykazanie piąte: wiersz musi – jak ptak – szybować na dwóch skrzydłach.

Na przykład na skrzydle racjonalizmu i emocjonalizmu. Wiersz pisany „językiem racjonalnym”, oschłym, hiperlogicznym, „językiem ścisłym” będzie „wyprany z uczuć”, będzie bliżej komunikatu („Jestem ślepy od urodzenia”) niż liryki („Przyjdzie wiosna, a ja jej nie zobaczę”). I na odwrót: wiersz pisany niekontrolowaną temperaturą emocjonalną niekoniecznie musi być „odlotowy”; najczęściej jest egzaltowany, a egzaltacja to jedna z największych przywar dobrego smaku.

Oczywiście, w historii liryki kategorii racjonalizmu i emocjonalizmu grupowały wokół siebie rozmaite „szkoły pisania”. Np. „szkoła Leśmiana” i „szkoła Przybosia” – jakże inne, jakże odmienne. Ale o ile u Leśmiana istnieje jakaś „logika metafizyki”, to u Przybosia panuje jakieś „szaleństwo logiki i ładu” – obaj widzieli dwie strony lustra, obaj szybowali na dwóch skrzydłach, na dwóch żywiołach swojej wyobraźni i poznania.

Można by z tego „przykazania” wywlec moral o „regule równowagi” w poezji. Ale i z tym ostrożnie – bo są wyjątki. Wyjątek zawsze stanowią „poeci szaleni”, poeci wyklęci, kaskaderzy... Ich nie obchodzą żadne reguły; nieznaczący jest wartość wyższej rangi... Równowaga jest banalem i oportunistem. Ale to ci, którzy całe swoje wielkie widowisko kreują z szybowania na jednym, i to na dodatek zranionym skrzydle. Oni są jak Ikar.

Leszek Żuliński

To dekalogu połowa. W kolejnych wydaniach Pegaza dalsze części mądrego samouczka dla młodych i starych poetów. Kto niecierpiwy, całość znajdzie na blogu Leszka.

Tadeusz Zawadowski

LIST DO LESZKA ŻULIŃSKIEGO

Gdyby Helena
była Małgorzatą
uwiodłaby Priama
nie Parysa

To Faust był winien
ona zaś bez grzechu
a jeśli nawet
to grubości cienia
on równy

A miłość
jeśli ona wieczna
to niedorzecznym jest
jej dociekanie
Jest niczym motyl
jeśli dotkniesz
– zranisz
I jest jak otchłań
w jądrze błyskawicy
– jeśli się zbliżysz
nie będzie ucieczki

I na nic słowa
– one nas nie zbawią
Są nazbyt ślepe żeby
móc nazywać
co nienazwane
Ciekną po kartce
jak ślina po brodzie
którą zlizują później
Małgorzaty

może nie pierwsze
a może ostatnie

Ich pępki równe są
pępкови świata
ponad szczeliną która
otumania
od czasów Pytii
Delphys znaczy łono
Nad tą świątynią
już Solon napisał
Znaj siebie samego
Lecz czy siebie
znamy?

Z Fausta powstałeś
w Fausta się obrócisz
– z jego kości siwej
nasze członki

Nie wińmy Małgorzaty
nie ona jest winna
że wciąż szukamy
czułości
nie w sobie
Lepiej napijmy się
starego wina
in wino veritas

Zawadówka, 14.09.2009 r.
– po lekturze „Ja, Faust”



VIII. Płaczące niewiasty

Kobietom łatwiej o łzy.
I te wylewane z goryczy,
i te roześmiane.

Których wyciskam
więcej?

Raudančios moteris

Moterims paprasta verkti.
Ir iš širdgėlos, ir iš juoko.

Kurių ašarų išspaudžiu
daugiau?

Wizyta mojego ojca

Wpada do mnie mój zmarły ojciec.
Siada na krześle, które po nim
odziedziczyłem
i mówi Jak tam, Niels.
Jest opalony i silny, jego włosy lśnią
jak czarny lakier.

Za życia przy pomocy lewara i tacek
dźwigał płyty nagrobne innych ludzi,
a ja mu asystowałem.

Dzisiaj bez niczyjej pomocy
podniósł własną. Co u ciebie słyhać?
Opowiadam o swoich planach,
niezrealizowanych zamiarach.
Na magnetycznej tablicy
wisi siedemnaście rachunków.

Wyrzuć je – radzi – i tak wróć!

Uśmiecha się.

Zawsze dużo od siebie wymagałem,
nocami nie mogłem spać, głowiłem się
jak tu być porządnym człowiekiem.
To ważna rzecz.

Proponuję mu papierosa, ale już nie pali.
Słońce zapala dachy i kominy,
na ulicy hałasują śmieciarze, krzyczą
coś do siebie. Ojciec wstaje
i podchodzi do okna.
Mają co robić. Tak powinno być.
Weź się do roboty!

przeł. Jarek Augustyniak
i Elżbieta Wójcik-Leese

Moje fantastyczne pióro

Najchętniej piszę
używanym długopisem znalezionym na ulicy
albo reklamówką, chętnie elektryka,
stacji benzynowej czy banku.
Nie dlatego że są tanie,
ale wyobrażam sobie, że taki przyrząd
zjednoczy moje pisanie z przemysłem,
potem robotnikami, biurami dyrekcji
i całą mistyką bytu.

Kiedyś pisałem kwieciste wiersze wiecznym piórem
– czysta liryka czystej pustki –
ale dziś chcę mieć gówno na papierze,
lzy i smarki.

Poezja nie jest dla mięczaków!

Wiersz ma być tak samo uczciwy jak indeks akcji
– mieszanka realiów z regularnym blefem.
W ilu sprawach jesteśmy stopniowo ponad to?
W niezbyt wielu.

Dlatego śledzę procenty z obligacji
i poważne papiery. Giełda papierów wartościowych
należy do rzeczywistości – tak jak i wiersze.
I dlatego jestem taki zadowolony z tego długopisu
z banku, który znalazłem pewnej atramentowoczarnej nocy
pod zamkniętym kioskiem. Pachnie
lekko psią uryną i pisze fantastycznie.

przeł. Lena Preis

C. Niels Hav - duński poeta i prozaik (ur. 1949). Mieszka w Kopenhadze, autor kilkunastu tomików wierszy i zbiorów opowiadań. W antologiach i czasopismach drukowany w języku angielskim, duńskim, hiszpańskim, włoskim, tureckim, holenderskim, arabskim, hebrajskim, chińskim, etc.

Poznałem go w zeszłym roku na Warszawskiej Jesieni Poezji. Mieliśmy wspólny poranek autorski w Liceum im. J. Dąbrowskiego, a w przedostatni wieczór w Klubie Teatru Rampa wystąpiliśmy ze swoimi wierszami w programie „Uroki młodości, uciechy starości”. Nielsa – nie wiem, jak on to robił – można było spotkać na wszystkich imprezach festiwalu, słuchał, robił zapiski, fotografował. Zawsze uśmiechnięty, przyjazny, ciekaw innych, próbujący nawiązywać rozmowy, o poezji zwłaszcza. Sam miał wiele o niej do powiedzenia. Jest jednym z najpopularniejszych poetów w Danii.

Ireneusz K. Szmidt



IX. Upadek III

Nie trzeba obrączki, by
cudzołożyć.

Upadam już samym
pragnieniem ciała.

Parpuola III

Nerekia žiedo, kad
būtum neištikimas.

Krentu vien tik
trokšdamas kūno.

Róża Czerniawska-Karcz

60 LAT szczecińskiego ZLP

Kiedy przyjąłem obowiązki prezesa szczecińskiego Oddziału ZLP, niewiele wiedziałam o jego historii. Wkrótce wszystko się zmieniło. Zaczęłam odkrywać powoli karty nie tylko kronik czy protokołów. Trzeba było, z czystej chęci wiedzy, ale także potrzeby uzupełnienia dokumentacji, szukać zapisków oraz informacji. Niewyczerpanym źródłem okazał się Janusz Krzywiński, jeden z pisarzy najdłuższej należącej do Oddziału. Ale i on nie pamiętał wszystkiego. Potrzebne były leksykony, encyklopedie czy inne annały dostępne w Książnicy Pomorskiej. I tak powoli zaczęła się wyłaniać nieco przykurzona, pożółkła historia naszego Oddziału ZLP. Niezwykle cenne okazały się dwie zachowane kroniki.

Pierwsza z nich sięga roku dopiero 1958, a Oddział szczeciński powstał 15 listopada 1950 roku. Wtedy zarząd stanowili: prezes – Jerzy Andrzejewski, mieszkający wtedy w Szczecinie (do 1952 roku), sekretarz – Witold Wirpsza, skarbnik – Walerian Lachnitt, członkami rzeczywistymi byli: Edmund Osmańczyk i Franciszek Gil, kandydatami – Maria Boniecka, Julian Borzym, Józef Czerni, Maria Kurecka-Wirpsza, Jan Papuga, Stanisław Szydłowski, Stanisław Telega. W 1955 roku do Oddziału weszli: Nina Rydzewska, Ireneusz Gwidon Kamiński i Ryszard Liskowacki.

Czy jest gdzieś pierwsza kronika, przechowująca zapiski tamtych czasów?

W naszej kronice od 1958 roku świeci plejada ówczesnych znakomitości polskiej literatury, pisarzy, którzy gościli w Szczecinie, najczęściej w maju, kiedy odbywały się coroczne Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Wśród wpisów widnieją autografy: Jarosława Iwaszkiewicza, Melchiora Wańkowicza, Pawła Jasienicy, Magdaleny Samozwaniec, Zofii Kossak-Szatkowskiej, Jerzego Waldorfa, Stefana Kisielewskiego, Mariana Brandysa, Bogdana Ostromeckiego, Czesława Janczarskiego, Tymoteusza Karpowicza i innych. W latach późniejszych pojawiają się podpisy Jerzego Harasymowicza, Edwarda Balcerzana, Leszka Proroka, Henryka Berezy, Leonarda Buczkowskiego, Ni-

kosa Chadzinikolau, Joanny Kulmowej. Wycinki prasowe z Dni Książki pokazują fotografie pisarzy i pisarek szczecińskich, a wśród nich: Ninę Rydzewską, Eliasza Rajzmana, Marię Boniecką, Ryszarda Liskowackiego, Czesława Czerniawskiego, Tadeusza Grabowskiego, Jana Papugę, Józefa Bursewicza, Ireneusza G. Kamińskiego. Pojawiają się nowe twarze i nazwiska – Janusz Krzywiński, Ireneusz K. Szmidt, Helena Raszka, Andrzej Dzierżanowski, Adolf Momot, Jerzy J. Pachlowski, Eugeniusz Daszkowski.

Płynęły lata, zapisywane nie tylko w kronikach i księgach protokołów. Zmieniają się kolejni prezesi. Pisarze odchodzą na zawsze albo tylko do innych miast. Powiększa się księgozbiór w oddziałowej bibliotece. Przybywają młodzi. Ich debiuty zapowiadają nowe nazwiska w szczecińskiej prozie i poezji. Jedni przetrwają w pamięci czytelników, inni pozostaną tylko w kronikach. Wśród papierów na zakurzonych półkach odkrywam skarby przeszłości – Złote Ekslibrisy ofiarowane przez Książnicę Oddziałowi ZLP w Szczecinie z okazji jubileuszy: 25-lecia, 30-lecia, listy gratulacyjne z okazji 35-lecia. To ostatni obchodzony jubileusz i ostatnie przyznane szczecińskim pisarzom wysokie odznaczenia państwowe. Był rok 1986. To przesunięcie spowodowało rok 1983. Zawieszenie, rozwiązanie i ponowne założenie ZLP.

W swoich już nie tak eksponowanych i nie tak prestiżowych działaniach, umożliwiających jednak kolejne debiuty młodym wstępującym do ZLP, przetrwał Oddział pod zarządem kolejnych prezesów: Ireneusza G. Kamińskiego, Eugeniusza Daszkowskiego, Ireneusza K. Szmidta i Wiesława Andrzejewskiego do roku 1993, kiedy to część pisarzy z Oddziału odeszła, zakładając Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Lata 1996-2004, to dwie kadencje prezesury W. Falkowskiego – cicha egzystencja, ale też z nowymi nazwiskami – Barbara T. Dominiczak, Leszek Dembek, Wojciech Jasiński. Wtedy też, w 2001 roku, zostałam przyjeta do ZLP w Szczecinie. Kolejne dwie kadencje prezesa Józefa Gawłowicza. Bez wzlotów i bez upadków Oddziału. Przeczekanie lat chudych. Kiedyś musiały się skończyć. Dlatego trzeba było rozpocząć nową kadencję od przypomnienia Szczecinowi, i nie tylko, że Oddział ZLP w Szczecinie istnieje już 60 lat.

X. Z szat obnażony

Co znaczy intymność,
kiedy obraz świata
na wszystkich ekranach
obdarty ze wstydu?

Jak spojrzę Bogu w oczy,
kiedy stanę przed Nim,
rozebrany z własnych
nieprawości?

Apnuogintas

Ką reiškia intymumas,
kai nuo pasaulio paveikslo
visuose ekranuose
nuplėšiama gėda?

Kaip pažvelgsiu Dievui
į akis, atsistojęs prieš Jį
išrengtas iš savo
piktadarybių?



Czy wesprze nasze inicjatywy literackie, wydawnicze, promocyjne? Jubileusz pokazał nas i nasze działania, które przechodziły dotychczas niezauważenie, ot chociażby Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”, a w 2012 roku była już jego 3. edycja.

W takich działaniach się spełniamy, w odkrywaniu i promocji młodych talentów, w promocji twórczości marynistów i pisarzy starszego pokolenia, w spotkaniach literackich, w działalności wydawniczej, współpracy z innymi środowiskami twórczymi Szczecina i Polic. Jesteśmy też otwarci na wszelkie inicjatywy kolegów z innych oddziałów ZLP w kraju. Chcemy znów otworzyć Szczecin dla pisarzy, by wypełniły się kroniki znanymi nazwiskami, które nasi następcy będą odkrywać przy okazji kolejnych jubileuszy szczecińskiego Oddziału ZLP.

Róża Czerniawska-Karcz

Poetka, publicystka, absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, od kwietnia 2011 r. prezes szczecińskiego Oddziału ZLP.

Autorka tomików poetyckich: „po prostu wiersze” (Kraków 1999); „jak słońce w kroplach” (Kraków 2000); „makijaż jesienny” (WP „Albatros”, Szczecin 2001); „Sny motyli” (WP „Albatros”, Szczecin 2002); „A w moim oknie kwitnie jesień” (OW „MAK”, Szczecin 2006); „...w kropli czasu” (Szczecin 2010); arkusze poetyckie: „Strofy Księżycowej Pani” (OW „MAK”, Szczecin 2002); „Tulipanowe pejzaże” (OW „MAK”, Szczecin 2004). Publikuje także swoje wiersze oraz teksty prozatorskie (eseje, recenzje, artykuły publicystyczne na łamach prasy krajowej, regionalnej i szczecińskiej). Jest laureatką ogólnopolskich konkursów poetyckich.

Współpracuje z: miesięcznikiem pedagogicznym „Dialogi” (kolegium red.), Wydawnictwem Promocyjnym „Albatros”, Pałacem Młodzieży w Szczecinie (gdzie organizuje i prowadzi czwartki literackie), Książnicą Pomorską oraz Klubem 12. Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie. Jest współorganizatorką trzech edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”.

Pory Roku

Wiosna Lato
Jesień Zima
czy Vivaldi
czas zatrzymał
wciąż wygrywa
serca gamy
powracamy...
przemijamy...
odchodzimy
ku jesieni
może dzisiaj
zaproszeni
może jutro
zapomniani
siwym szronem
zima sroga
zatrze ślady
po ogrodach
może wiosna
nas ocali
może lato
dalej dalej...
Wiosna Lato
Jesień Zima
– to Vivaldi

* * *

zamieniamy lata na chwile
Czas je nam doprawia
kolorem smakiem
zapachem
Prestidigitator
serwuje nam szczęśliwe
mgnienia
wzruszeń albo natchnień



Szczęście obieram

szczęście obieram
ze skórki
smakuję grzechu orzech
na cząstki dzieł
pocalunki
w ramionach układam
oddech
na dłoniach zbieram
rozkosz
pomarańczowy pył
i ciszę...

sen gdzieś odszedł

ty jesteś
ciszą
grzechu echem
i snem
co szczęściem
przez chwilę był...

XI. Przybity

Niesprawiedliwie
osądzonych,
biczowanych bezrobociem,
przygniatanych biedą
i chorobą
– przybija niemoc.

Pomstuję, gdy tylko
dokuczy
ból zęba, mniejsza premia,
zwyczajny na nosie
pryszcz...

Prikaltas

Neteisingai nuteistus,
plakamus nedarbo,
slegiamus vargo ir ligų
– kala bejęgiškumas.

Piktžodžiauju, kai
kankina danties
skausmas,
mažesnė premija,
paprastas spuogas
ant nosies...



Leszek Żuliński

Azyle i banicje Romana Habdasa

Roman Habdas debiutował późno (jak na „obyczaję” naszego życia literackiego), bo dopiero, gdy miał 39 lat. Minęło od tamtej pory 16 lat i jest autorem zaledwie trzech zbiorów wierszy – to też raczej „średnia krajowa” umiarkowana. Ale akurat w przypadku Habdasa chce mi się zakrzyknąć: i bardzo dobrze! Bowiem należy on do tej rzadkiej kategorii autorów, którzy czerpią inspiracje z życia i codzienności, nie uzależniają się od żadnych kontekstów literackich, piszą wyłącznie z pokładów solidnie przetrwanego autentyzmu, a to podglebie zazwyczaj odplaca się poetom dobrym i szczerym tonem. Wiersze Habdasa ujmują swoją prostotą, wiarygodnością, jakimiś mocnymi związkami z prawdą życia. Nie drapują swojej dykcji w artystowskie fałdki, ale to właśnie ich surowa prostota nagle zaczyna błyszczeć siłą i cudownie rysowanym światobrazem. Innymi słowy: jeszcze jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy salony wyobraźni zostały zdystansowane przez talent naturalny, który nie przegląda się pstrokato w lustrach form i koncepcji.

Czy Habdas jest „naturałszczykiem sztuki”? Hm, to byłoby zbyt uproszczenie – raczej kojarzy mi się z tradycją autentystyczną, najpierw tą z lat przedwojennych, a potem tą spod egidy Ożoga, Barana, grupy „Tylicz”... Acz i z tymi porównaniami staram się być ostrożny, bowiem „rasowi autentycyści” pławili się w pejzażu czy rustykalizmie z jakąś osobliwą, „horacjańską” radością, Habdas zaś jest skrajnie ascetyczny w środkach wyrazu, tak estetycznych, jak emocjonalnych, no i to okazuje się jego osobnością i jego siłą.

Pierwszy tomik nosił tytuł „W ramionach Drawy” (1995) i był opatrzony posłowiem Anny Kajtochowej (mającej swoje szczególne związki z neoautentystyczną grupą „Nadskawie”) – i był to tomik wędkarza. Dziwne określenie? Ano dziwne, ale Habdas wyłowił te wiersze

„moczeniem kija w wodzie”, a hobby to – jak wiadomo – zaraża takich wrażliwców, jak on, urodą natury. Gaston Bachelard, sławny francuski teoretyk od poetyckich żywiołów, miałby problem z przypisaniem Habdasa do mocy wody czy ziemi, ja tym bardziej, a przecież jedno jest pewne: to, co w tych wierszach się dzieje, to na pewno żywioł przyrody, którą poeta wybiera w sposób naturalny jako scenografię żywota. W tym cały cymes: Habdas opisuje swoją harmonię z pejzażem, ale czyni to tak jak egzystencjalista. Z niepozornych, do zachwyty prostych obrazków, wysnuwa nitki „egzystencjalnego” nastroju, zachwyty, spleenu, całej tej magicznej korelacji, jaką my, ludzie miasta i betonu, gdzieś zatraciliśmy. Owszem, literatura „przerabiała” to od wieków, jednak przyszły czas, gdy tę dyspozycję traci, stąd odczytuje osobność, a nawet odważną determinację Habdasa jako wartość na nowo świeżą. Ponadto już w tym pierwszym tomiku poeta okazał się niebywałym odkrywcą własnej prostoty. Skromność, powściągliwość środków wyrazu kontrastuje z ich ładunkiem, w którym otrzymujemy taką dawkę refleksji nad światem, która nas porusza. Dziwny to „klasycyzm” – z jednej strony sprzyjający dawnym, uporządkowanym wartościom, z drugiej wpisujący się świetnie we współczesną poetykę „antybaroku” i postawangardowej dyscypliny słów. Tak, to był bardzo piękny i mądry debiut, w jakiejś mierze ważny z punktu widzenia mielizn postmodernistycznego jazgotu.

Drugi tomik – „Żucie szczawiu” – ukazał się w roku 2007 i był rekomendowany przez Andrzeja K. Waśkiewicza, znanego admiratora awangardy krakowskiej... Toteż i temu krytykowi musiał się Habdasowy ascetyzm formy podobać. Mnie zachwycił wręcz. Poeta uczynił sobie w tych wierszach podróż sentymentalną do podpoznańskiej Mosiny, z której pochodzi. Te wiersze mają dwóch bohaterów i dwa główne wątki: małe miasteczko i jego powidok odtwarzany po latach. Zawsze w przypadku tego typu tropów powołuję się na Macondo, z którego Marquez uczynił – nie wiedząc o tym, gdy pisał swoją sławną powieść – pojęcie ogólnokulturowe i egzystencjalne w jakimś sensie. U Habdasa ten ryzykowny wehikuł czasu nie wymusił jednak popuszczenia lejców. Jego asceza „narracji poetyckiej” doszła niemal do granic ostateczno-



XII. Śmierć

**Uparcie stając
przeciwko Bogu,
człowiek staje się trupem
jeszcze przed śmiercią.**

**Niejeden łotr skruszał i
ujrzał niebo.**

Mirsta

**Užsispyręs stovėdamas
škersai Dievo
žmogus virsta lavonu
dar iki mirties.**

**Nė vienas niekšas
atgailavo ir pateko
dangun.**

ści. W zasadzie zaczęła graniczyć z behawioryzmem. A jednak to miasteczko jest jak ze snu. Do bólu realne, skromne, biedne, zapyziałe, lecz w swej „niegdysiejszości” – fascynujące; nierzeczywiste i żyjące już tylko w dawnym chłopcu. Jeszcze jedna Atlantyda z tych, jakie niemal wszyscy nizamy na sznurki biografii, ale i one z czasem pękają, rwą się, nie odtwarzają po latach drogi do matecznika...

Czytałem kilkakrotnie ten tomik, jakbym przeglądał album własnego dzieciństwa. Poetyka prowincji, szarość i sepia dawnego czasu, scenki rodzajowe, sąsiedzi, typy ludzkie, jakich już dzisiaj nie ma, rytuały codzienności, mały realizm, i choć z przasnej epoki gomulłowskiej, to nasycony tą samą nostalgią, jaka się snuje – per analogiam – po wspomnieniach dawnych żydowskich sztetli.

Tajemnica prostoty Habdasa wydaje się prosta: żadnych ozdobników, słów zbędnych, żadnej nadekspresji. Mówienie prostymi obrazami, jak np. w jednym z najpiękniejszych wierszy tego zbioru pt. „Ryby i koty”: *Wszystkie koty z Garbarskiej / lasiły się do Stefana i laziły za nim / w podwórzu kamienicy pod piątym // przy pieńku wyciągał z puszki po marmoladzie / rybę po rybie a były w niej takie jazie / i klonki że zapierało dech // łowił na snówkę z zasiadki / często na macanego idąc brzegiem / kanału Mosińskiego / pod Krosinko albo za kolejowy most // Stefan jak nikt miał do ryb żyłkę / i katarinę przy bambusie / do jej nawijania // koty raczył łbami i litością.*

Tak, jest w tego typu prostocie i prawda czasu, i fotografia przeszłości, i czułość, czułość, czułość... Skromny, wspaniały tomik z wielką dyscypliną słowa i całą magią dzieciństwa naszego pokolenia. Ja, starszy od autora zaledwie o siedem lat, wychowałem się w ponemieckim miasteczku na Opolszczyźnie i żałuję, że nie umiałem dawnych lat tak zapisać, jak uczynił to autor „Żucia szczawiu” (szczaw, Panie Romanie, też rwałem na łąkach, też żulem...).

W roku 2009 ukazał się trzeci zbiorek Habdasa – „Z gliny ulepieni”. Autorka posłowia, Krystyna Kamińska, słusznie na pierwszy plan wysuwa zmianę, jaka zaszła. Habdas napisał ten cykl już jako przesied-

lenie do Gorzowa i mieszkanie typowego blokowiska. Zmienia się aura, zmienia się pejzaż życia. Pojawiają się problemy, których w dawnej Mosinie albo nie było, albo się o nich nie mówiło, a nad Drawą o nich się nie myślało. Inny świat, jak w wierszu „Bez cudów”: *Wśród kamieni osiedli / dorastają chlerlawe dzieci / trawy płowieją od nadmiaru łajna / psów zmęczonych ludźmi // Tam nie ma cudów / najwyżej pieniądz / najniżej Bóg / z którym przyjaźń od potrzeby / i / święta.*

Oczywisty refleks alienacji i parszywienia czasu, choć przecież zapewne lepszego od lat w dawnej Mosinie. Ale zawsze, choć lepiej, to jest gorzej w wędrowce przez życie. Za nami zostają biedne Arkadie, przed nami straszą betonowe Pustynie lub Kamienne Lasy, pełne nowych wilków. Futuryzm w miejsce autentyzmu? – nie, na to jest wielka niezgoda w tych wierszach. I kolejna fotografia, tym razem jakiejś refleksji socjologicznej, obyczajowej, „aglomeracyjnej”, w której tylko (to ostatnia część tomu) azyl rodzinny może stworzyć enklawę ocalenia i prywatności.

Sądzę, że Roman Habdas – nie wiem, na ile świadomie – stworzył poetycką trylogię własnej drogi życiowej. Obraz swoich ewoluujących arkadii i banicji, harmonii i wyobcowania, dyskomfortów życiowych i pięknych azylów. Zawierzył nie tyle jakiegokolwiek intuicji literackiej, co własnej prostocie uczuć i spostrzeżeń, zaufał swemu „naturalizmowi” i swemu „zwyczajnemu” językowi. Amplituda między tymi niewydumanymi środkami a dramatyzmem i pięknem opisywanego świata stworzyła osobliwą swoistość i niepowtarzalność tonów. Coraz rzadziej zdarzających się we współczesnej poezji, ogarniętej amokiem oryginalności pojmovanej nazbyt „narzędziowo”. Jeszcze raz zwyciężyło to, co rzadkie: poezja, która ma coś do powiedzenia i która ocala w nas zadziwienie światem, staje się sztuką podobną do tego zapachu chleba, którego już w piekarniach nie ma...

Leszek Żuliński

Roman Habdas, W ramionach Drawy, RSTK Gorzów Wielkopolski 1995, s. 80; Żucie szczawiu, RSTK Gorzów Wielkopolski 2007, s. 84; Z gliny ulepieni, ZLP Gorzów Wielkopolski 2009, s. 64

XIII. Pieta

**Coraz częściej
zdejmujemy Chrystusa
z naszych ścian.**

**A krzyże złote na
piersiach... Niechby
skromniejsze,
lecz w sercu.**

Pieta

**Vis dažniau
nuimame Kristu
nuo savo sienų.**

**O auksiniai kryžiai
ant krūtinės... Tebūnie
kuklesni,
bet širdyje.**

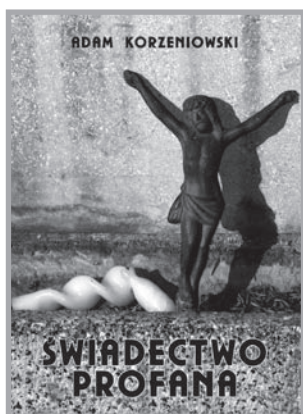


Beata Patrycja Klary

„Świadection profana”
świadectionem BENA

Sądę, że każdy, kto znał Bena (a ja miałam taką przyjemność), lubił to wyjątkowe zwierzę. Wielki kudłaty pies o ogromnym łbie był nader sympatyczny. Królował na swoim podwórku, ale intuicyjnie wszyscy wiedzieli, że nigdy by nikogo nie ugryzł. Jakiś spokój i figlarność wyzierały z jego oczu.

Dziś Ben szczeka w psim niebie – zdecydowanie za szybko tam pobiegł. Nie trzeba być poetą, by silnie przeżyć śmierć psiego przyjaciela – ale tylko poeta jest w stanie o tym napisać wiersz. Tak też zrobił pan Bena – Adam Korzeniowski. Wiersz o tytule, rzecz oczywista, BEN publikowany był bardzo szybko po tym, jak powstał. Teraz zamieszczony jest w najnowszej książce Korzeniowskiego „Świadection profana”. Ten właśnie wiersz lubię z tomu najbardziej. Rytm, w jakim został napisany, płynąca fraza, muzyczność i swoista elegancja słowa – nasuwają mi gładkość, z jaką pisał Paul Celan. Nie ma co ukrywać, że to jeden z ulubionych poetów Korzeniowskiego. W tomie jest nawet wiersz poświęcony Celanowi. BEN-wiersz sam się czyta. To wielka sztuka, by uniknąć chropowatości, by słowa nie potykały się o siebie. Tu nie ma zbędnej frazy, a każde powtórzenie (jak bicie dzwonów kościelnych) podbija znaczenia. Polecam każdemu czytelnikowi szczególnej uwadze wiersz BEN ze stron 24-25 książki. **Kunszt pisarski Korzeniowskiego widać tam najlepiej** – i nie jest to jedynie warsztatowa sprawność, zdolność czysto rzemieślnicza, ale również umiejętność budowania nastroju oraz specyficznej aury, dzięki której wiersz nie tylko sam się czyta, ale i sam zapisuje się w pamięci.



Ben

Gdy wsuwa olbrzymią głowę między rękę a udo
lub ciężki łeb kładzie na naszych kolanach,
a jego długa broda mokra jest od rosy,
odganiamy go klepiąc po potężnym torsie.
Gdy rano wbiega do domu i wita się z nami,
niczym czarna kometa ciągnąc obłok pyłu,
tyle w nim radości i energii dzikiej,
jakby na to spotkanie czekał całe życie.

Klepiemy go wtedy po potężnym torsie
i na dwór wypychamy chociaż się zapiera.
Patrzy na nas spode łba wielce obrażony,
a potem odchodzi wolno, jakby od niechcenia.

Kiedy grabisz liście. jest jak cień przy tobie
i akurat tam leży, gdzie właśnie chcesz grabić,
lekką szturchasz go trzonkiem, aby się przesunął,
a on patrzy na ciebie, jakby się uśmiechał.

Kiedy idę nad Noteć, żeby robić zdjęcia,
wchodzi w kadr lub łbem trąca,

gdy ustawiam statyw.

Więc na niego krzyczę i ręką odganiam,
klepię go po głowie i olbrzymim torsie.

Wtedy szczeka donośnie, jakby śmiał się z tego
i zębami ostrożnie chwyta moje dłonie.

Za oknem jest mglisto, nie słyszę szczekania.
Sypie śnieg jest cicho, siedzę w pustym domu.

Patrzy na mnie ze zdjęcia, jakby się uśmiechał.
Gardło się zaciska, gdy chcę go zawołać.

Tylko dłoń nie wierzy, że już go tu nie ma.
Odruchowo przy udzie szuka wielkiej głowy.

Palce chcą się zatopić w skoltuniałych włosach.
Wyrwać z brody rzepa – pamiątkę z wyprawy
przez łąki i rozlewiska, które tuż za oknem
czekają by w nie ruszyć na wieczorny spacer.
Ale tylko powietrze odnajdują palce,
a ruch dłoni, kształt kreśli, który jest wspomnieniem.

20.11.2005 r.



XIV. W grobie

Jezus spowity w całun.
Złożony do grobu.
Trzeciego dnia
Zmartwychwstał.

A ja
ciągle nie dowierzam.

Kape

Jėzus apgaubtas drobule.
Paguldytas kape.
Trečią dieną prisikėlė iš
mirusiųjų.

O aš,
vis dar netikiu.

Pani kurator

Pani kurator była punktualna. Tyle że kilka minut wcześniej Nali znowu zapisać zaczęła. Siedzieli w kuchni, Nali na swoim krzeselku, nad sporą miseczką kleiku ryżowego, on na parapecie, starając się wydmuchiwać dym za okno. – Znowu palisz! – karzący głosik Nali. – Daj mi soku do ryżu. – Nie wolno – mruknął. – Powiem mami! Powiem mami, że tu paliłeś paperosa. Daj soku, daaaj! Nie zanęcaj siem nad sierotą! – Jaką sierotą? – zdumiony wypuścił papierosa z ręki. – I chcesz domek spalić! Daaaj soku, tato. Ja sierotka. – Dlaczego sierotka? – zapytał stanowczo. Pozbierał papierosa, zgasił i wyrzucił. – Bo taaak. Bo mami nie ma, a ty nie chcesz dać soku. To jest ohidne! – zjadła następną łyżeczkę. – Błę! – Dobrze, trochę. Wyciągnął butelkę Nalowego malinowego ulubieńca. – Kocham ci! – Nali radośnie patrzyła na buteleczkę. – Trochę – mruknęła po chwili. – Daj więcej. Oj! – zamarła z otwartą buzią. – Zdażem! – zeskoczyła z krzeselka i klapnęła na czery łapki. Złapał ją i zaniósł do łazienki. Odpiał pampersa. Nali nie zdażyła. I kiedy po raz kolejny przekomarzali się za pomocą wanny i prysznicza, rozległ się dzwonek.

– Poczekaj – przykazał maleństwu. Owinął ją ręcznikiem i poszedł do drzwi. – Kurator sądowy. – Proszę wejść – zostawił drzwi otwarte i wrócił do łazienki. – Kto to? – pytające oczki Nali. – Pani z sądu – sięgnął po piżamkę. – Co to sąd? – Coś jak policja – mruknął. – Nawet jeszcze gorzej. – Puk, puk! – usłyszał. Wychylił się z łazienki. – Proszę wejść, na prawo. Dzień dobry. Córka trochę chora, właśnie kończymy kąpiel. – Mówi siem córeczka – zamruczała Nali. Roześmiał się. Zaniósł ją do łóżeczka, przykazał być grzeczną i wołać zaraz, gdyby się znowu zdarzyło. – Możesz nawet wrzeszczeć.

Przedarł się jakoś przez dokumenty, dowody tożsamości, uzasadnienia, wszystkie „dlaczego” i „jak”, wypowiadał się z żon i pierwszego dziecka, z dochodów, nieruchomości i ruchomości. Potem w miarę wiernie streścił historię związku z Natalią i tu pomyślał, że bardziej trafne byłoby użycie francuskiego „liaison”, koniecznie, tak jak i poprzednio, dodając „dangereuse”, choć z zupełnie innego powodu. Podzielił opowieść na akt pierwszy i drugi – tutaj pani kurator zadawała pytania niespecjalnie wiążące się ze złożonym przez niego wnioskiem – po czym przeszedł, miał nadzieję, że z wdziękiem, do Nali. Właśnie miał, dla ubarwienia historyjki, opowiedzieć o pytaniu, jakie Nali zadała mu na Isskoglu, kiedy skrzypnęły drzwi. Trochę skrzypnęły. – Dzień dobry, psze pani – to był wyjątkowo grzeczny i układny głosik Nali. Wdrapała mu się na kolana i z absolutnie niewinnym uśmiechem wpatrzyła się w panią kurator. – Natalka choruje – objaśnił, sam nie bardzo

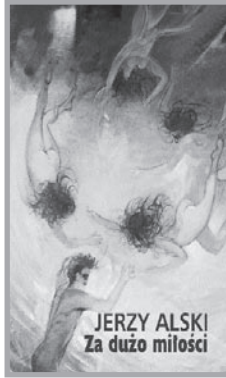
widząc związek między grzeczniutkim maleństwem a chorobą – i dlatego zostaliśmy w domu. Grypa żołądkowa – dodał. – Mami, to znaczy Natalia, ma dzisiaj ważne rozmowy z promotorem. Pisze doktorat. – Aha – powiedziała pani kurator i coś zanotowała. Podniosła wzrok. – A... – Psze pani? – zapytała cichutko Nali. – Pani jest... z policji? – Nie! – pani roześmiała się. – Z coś gorszego? – indagowała dalej Nali. – Też nie – teraz pani popatrzyła uważniej. – A dlaczego pytasz? – Bo... – Nali popatrzyła do góry, potem znowu na panią, trochę niepewnie. – Ale myśmy wszystko poprzątał.

Z tatem i z mami. I z Nobertem. I z jego mamą. To szkło, co siem potukło, też. – Opowiedz od początku – pani usiadła wygodniej, a jemu zrobiło się zimno. Jak Nali wyskoczy z pićm wina w piaskownicy... – Bo ja miałam urodziny i wszyscy przyszli i bawiliśmy się trochę i były lody i miałam tortę też. Dużego. Dla wszystkich i on się trochę udeptał. Jeden kawałek – wyjaśniła i znowu popatrzyła na panią z niepokojem. – A potem to zrobiliśmy, no... bankieta! – Jakiego bankieta? – pani patrzyła, nieco zdumiona. – No... na podwórku

zrobiliśmy bankieta. Nobert tak powiedział, a on ma dziadka, co się zna. – Kto to jest Nobert? – pani kierowała pytanie wyraźnie do niego. – Jej... – odwrócony znowu do góry buziak Nali i straszszliwa groźba w oczach: tylko tak powiedz! – ...kolega z przedszkola – dokończył. – Bardzo się lubią. Wnuczek mecenasa – podał nazwisko. Pani kurator uśmiechnęła się szeroko. – A co było dalej, na tym bankiecie? – pytanie do Nali. – Nooo, wesoło. Wszyscy się bawili w zabawy, a tato przywoził... – Nali na chwileczkę umilkła – różne prowianty. Potem się wylało, a jeszcze potem potukło. Ale wszystko wybieraliśmy. Naprawdę! – To miałaś świetne urodziny. Masz na imię Natalka, tak? – Też – oświadczyła Nali. Pani wyglądała na zaskoczoną. – Dlaczego też? – Bo ja mam na imię Nali – poinformowało dumnie maleństwo. – To jest figiel. Po estońsku. Bo ja jestem taty figielek! – podniosła znowu uśmiechnięty buziak do góry. Nieoczekiwany niepokój w jej oczach. – Oj! – Przepraszam – powiedział Krzysztof.

Tym razem zdażyli. Nali, umyta i przebrana, trafiła na powrót do łóżeczka, a on wrócił do pani kurator. – Przepraszam – powiedział raz jeszcze. – Taka choroba. – Mam dwojkę dzieci – pani kurator składała papiery. – Nie musi pan wyjaśniać. Powinam jeszcze z nią porozmawiać... Z pańską córką – podniosła wzrok – ale to chyba niepotrzebne. Ja wam życzę jak najlepiej. Cała sprawa chyba się szybko skończy – wstała. Krzysztof wstał też, podziękował grzecznie, odprowadził panią, wrócił do Nali. – Wygraliśmy? – zapytała uśmiechnięta, zdrowsza już bardzo wyraźnie, rozczochrana i błękitna Nali, jego Nali. Pokiwał z entuzjazmem głową.

(fragm. nowej powieści Jerzego Alskiego)



Epilog

**Każdy otrzymuje
z Bożej łaski
wolną wolę.
Wybór drogi dla życia
po życiu.
Amen.**

Jezu, ufam Tobie

Epilogas

**Kiekvienas Dievo
malone gauna
laisvą valią.
Gyvenimo kelią renkamės
po gyvenimo.
Amen.**

Jėzau, pasitikiu Tavimi

Panorama wojewódzkiego miasta

Akcja powieści „Koniec drogi do raj” rozpoczyna się w 1975 roku, gdy powieściowcy Mieszków stał się stolicą województwa. Autorem jest Henryk Wawrzyniec Kordoń, członek Związku Literatów Polskich, laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za najlepszą książkę wydaną w regionie lubuskim w 2006 roku. W latach 1975 – 1981 był w Gorzowie jedną z ważniejszych osób na stanowiskach partyjnych. W najnowszej powieści opisał świat, który znał z własnych obserwacji. Autor daleki jest od sugestii, że powieściowcy Mieszków to Gorzów, ale związki wydają się oczywiste.

W powieści występuje 150 postaci z rozmaitych środowisk: od I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego partii po duchowieństwo. Treścią zaś jest panorama przemian w latach 1975 – 1981, obraz najważniejszych polskich wydarzeń tamtych lat odbitych w rzeczywistości miasta średniej wielkości.

Część pierwsza to budowanie struktur nowego województwa, zachłyśnięcie się niezależnością, a stąd już krok do samowoli partyjnej i administracyjnej. W części drugiej autor pokazuje, jak zmieniały się postawy ludzi pracy po wydarzeniach w Radomiu i powstaniu Komitetu Obrony Robotników. Tu także ważne przemiany wśród duchowieństwa, rodzenie się ruchu oazowego, ogólnie budzenie się w ludziach potrzeb religijnych. Część trzecia ukazuje reakcję ludzi na wybór i na pierwszą wizytę w Polsce Ojca Świętego Jana Pawła II, czyli zarzewie przemian. Zaś część czwarta poświęcona jest rodzeniu się „Solidarności” i – równolegle – degradacji partii, dotąd siły najważniejszej. Akcja kończy się wprowadzeniem stanu wojennego, ale dla autora



jest to jednocześnie zwycięstwo idei demokratycznych i wolności politycznej. Na ponad 800 stronach Henryk Wawrzyniec Kordoń stworzył szeroką panoramę przemian mentalnych i politycznych w końcu lat 80. Powieść jest precyzyjnie skonstruowana, każda scena ma uzasadnienie, każdy bohater reprezentuje określone środowisko lub postawę. To – zgodnie z tytułem – „Koniec drogi do raj”, bo raj, jaki oferowała PRL, okazał się złudą. Nie znam książki, która by równie sugestywnie i prawdziwie pokazywała życie polskiego miasta w tym okresie. Jest przy tym napisana żywym językiem, z dużą ilością dialogów, zmiennością scen i bohaterów. Swoje literackie wyobrażenia mają tam liczne procesy społeczne i polityczne owych lat, np. ujawnianie nadużyć z pierwszych lat Polski Ludowej, czyli okresu walki z opozycją, nadużyć Urzędu Bezpieczeństwa, także przemiany stosunku do Niemców i Niemiec jako państwa wówczas politycznie wrogiego, dochodzenie do głosu prawdy o radzieckich zsyłkach na Syberię, przez tak wiele powojennych lat odsuwane w niebyt. Autor świadomie patrzy na rzeczywistość z socjologicznego i politycznego punktu widzenia, ale wyraźnie nie radzi sobie z wątkami psychologicznymi. Sfera przeżyć duchowych, szczególnie miłosnych, razi powierzchownością ujęcia.

Ci, którzy nie pamiętają tamtych czasów, mogą się dużo o nich nauczyć. Ci, którzy przeżyli je w Gorzowie, na łamach książki spotkają bohaterów podobnych do swoich znajomych, szczególnie z kręgu władzy. Dla niektórych „Koniec drogi do raj” może będzie nawet powieścią z kluczem, będą się doszukiwać tych lub innych pierwowzorów literackich postaci. Ale nie takie relacje są najważniejsze. To ciekawa panorama miasta w ciekawym okresie historycznych przemian. Gorzów dotąd nie miał takiej książki.

Krystyna Kamińska

DROGA DO RAJU *Fragm. cz. I*

Sekretarz Kryngal rzucił na biurko przeczytany meldunek wojewódzkiego szefa SB.

– Słuchaj, pułkowniku Leszkiewicz – krzyknął w słuchawkę – za pięć minut chcę cię widzieć u siebie! Jasne?!

Oczekiwanie na pułkownika Benona Leszkiewicza doprowadzało Waldemara do białej gorączki. Zapalił i wykruszył na popielniczce cały swój zapas papierosów, wracał do lektury poszczególnych akapitów meldunku, to podtrzymywał dłonią spadające mu na czoło włosy. Potykając się o gruby dywan, z niecierpliwości biegał po ogromnym gabinecie lub podchodził do okien.

– Melduję się na rozkaz, sekretarzu – nie wiedział, o co chodzi, wystraszony szef SB.

– Słuchaj Leszkiewicz – syknął gniewnie sekretarz KW – tymi dwoma rewelacjami o Grafie, o Runiewicz i ministrze Maryniaku, o Kumperskim możesz sobie podetrzeć tylek. Tego, że Graf odkrył, iż jego ojca zamordowało UB, ty oczywiście nie wiesz. A ja wiem też, że szamoce się człowiek, bo nie wie, jak to pogodzić z uczciwą służbą partii, a ty podpatrujesz, z kim się spotyka.

– Myślałem, sekretarzu...

– Milczeć! Runiewiczowa towarzyszyła Maryniakowi z mojego polecenia.

– Nie wiedziałem, sekretarzu.

– Milczeć! A Kumperski nie jest pokerowym pogromcą. I ja grywam czasami dla przyjemności. Skubnąłem go ostatnio na kilka tysiączków. Masz ten swój szpargał. Dopisz.

– Towarzyszu pierwszy sekretarzu – pułkownik SB zrozumiał, że to nie przelewki.

– Graf uprzedził mnie także, że jego żona chce odwiedzić chorą matkę. Niedobrze, że w RFN, ale to nie jest żadna zbrodnia, pułkowniku! – ochłonął nieco Waldemar. – Bez mojej zgody zabraniam ci po raz ostatni podpatrywania aparatu partyjnego. Zrozumiano?!

– Tak jest, sekretarzu.

– Za następny taki meldunek zapłacisz szlifami. Jasne?!

– Tak jest, towarzyszu pierwszy sekretarzu.

– O tym, że parafie nasiliły akcję oazową, nie napisałeś słówkiem. O tym, że więcej duszpasterze opadli latem kolonie, obozy i biwaki, nie raczyłeś nawet napomknąć. O tym, że kościelni dewociarze penetrują osiedla, prowadzą badania nośne gruntów i przeprowadzają ekspertyzy opuszczonej wytwórni prefabrykatów, także milczysz. O tym, że kapucyni opanowali mieszkowskie szpitale, a franciszkanie punkty katechetyczne, po prostu zapomniałeś. To ma być rozeznanie? Zapewne twój kierowca wie więcej od ciebie. Mam powiadomić Warszawę? (...)

KONIEC DROGI DO RAJU

Fragment cz. IV powieści

W krótką czerwcową noc posąg świętej Katarzyny zniknął z wnętrza fasady dworca PKP.

Dopóki spieszący się podróżni przeważnie opuszczali perony lub biegli do odjeżdżających pociągów, nikt nie zwracał uwagi na brak kolejarskiej Patronki. Kiedy kolejarze zaczęli przychodzić na ranną zmianę, ktoś bardziej spostrzegawczy wskazał pustą wnękę. Na przydworcowym placu zakotłowało się, grupka gapiów rozrastała się w zwartą ludzką masę, która kipiała z oburzenia, a poszum gniewu niósł się na budzące się miasto.

– Skandal, skandal! – wrzeszczały rozhisteryzowane kobiety.

– Skandal! – wydierała się młodzież, wnosząc w ulice nastrój przestrogi, wyolbrzymiając zajście i zwiastując nowe zagrożenie.

O tej porze ruch pasażerski nasilał się, ludzka powódź rozlewała się wszędzie, zablokowała podziemne przejścia i hole, uniemożliwiając funkcjonowanie obsługi. Przez głośniki rozlegało się się nieustanne nawoływanie do nieutrudniania ruchu i rozejścia. W falującej oburzeniem tłum wkradła się nerwowość, agresja połączona ze wściekłością i bliska wybuchu nieobliczalność.

– Matko Boska, tratuj! – wzmagal napięcie przeraźliwy krzyk.

– Gdzie nasza patronka?! – skandowali kolejarze.

– Święta Katarzyno, wstaw się za nami! – powtarzały niezmordowane dewotki.

– Święta Boża Rodzicielko! – rozpoczęły litanię do Matki Boskiej inne. – Święta Panno nad Pannami...

– Podróźni i kolejarska braci! – glosiły megafony. – Mówi do was zawiadowca stacji. Wysłaliśmy delegację po sekretarza Waldemara Kryngała. Wracajcie do domów, idźcie do roboty i szkół. Rozejdźcie się, proszę!

– Precz z komuną! Precz z Kryngałem! – zareagował wzburzony tłum.

– Proszę państwa! – trzeszczały głośniki. – Tu przewodniczący „Solidarności” na węźle PKP, Józef Mułysz. Informuję, że komisja zakładowa „Solidarności” przekształciła się w komitet strajkowy. Rozpoczynamy okupację budynku dworcowego, dopóki nasza święta patronka nie wróci na swoje miejsce. Dlatego gorąco proszę osoby postronne do rozejścia się. Niebawem skierujemy ruch pasażerski na przejścia zapasowe, by umożliwić terminową odprawę pociągów. Powtarzam...

Po trzecim wezwaniu przycichło trochę. Zdawało się, że bojujący zapal gawiedzi ostygł. Z ludzkiej cizby wymykały się grupki robotników, by zdążyć na zmianę, ale młodzież pozostawała podniecona ciekawością. Perony, przejścia i hol powoli pustoszały. Przed dworcem skupisko kobiet odmawiało różaniec. Jeszcze moment, a wszystko wróciłoby do normy.

Wtedy w ulicach dojazdowych pojawiły się plutony szturmowe MO i kompanie ORMO, zaś od tyłu na stację wkraczało wojsko. W stronę rozmodlonych kobiet wystrzelono pojemniki z gazem. Huk odpalanych rac, żrący dym i nieludzki okrzyk przerażenia przemieszały się w straszny raban. Milicyjne dwuszeręgi opasywały tłum, zwierały się, napierając, w ruch poszły szturmowe pały.

– Bij! – rozległy się pierwsze jęki.

– Jezus, Maria! – przebiegło przez tłum ostrzeżenie.

– Hitlerowcy, enkawudyści! – darli się bici. Nie dajmy się, rodacy! – huczały dworcowe głośniki. – Bandyści! Precz z komuną! – wyła młodzież.

– Na komitet! – zachęcał ktoś prowokująco.

Brawurowy atak milicji zakończył się łatwym powodzeniem, bo z tyłu cizby rzuciły się do ucieczki. W pomieszczeniach dworcowych prędko zabrakło miejsca dla wszystkich.

W powietrzu unosił się gryzący zapach gazu, odgłosy zgiełku i trwogi, a na bruku zostały dwie z kobiet, które nie mogły się podnieść. Na pełnym sygnale zajeżdżały karetki pogotowia.

– Rozejść się, rozejść! – grzmiały radiowozy.

Kazetenpowcy zdążyli opanować budynki i zatarasować wejścia od frontu. Milicja zajęła się wylapywaniem szamocących się bezradnie manifestantów. Główne siły szturmowe w ochronnym ekwipunku przystanęły wzdłuż ścian, jakby wytraciły impet i chęć wgrzyzania się w mur.

– Uwaga, kolejarze! – wołał milicyjny megafon. – Wzywamy do spokoju! Wracajcie do obowiązków!

– Oddajcie posąg świętej Katarzyny! – odpowiedziały dworcowe głośniki. Milicja nie ma z tym nic wspólnego! To chuligański wybryk miejskich oprychów! Sprawcy zostaną ukarani! Uczynimy wszystko, żeby odnaleźć statuetkę świętej.

– Nie wierzymy!

– Przemówi do was członek KC, poseł na sejm, pierwszy sekretarz KW i przewodniczący WRN, powszechnie znany Waldemar Kryngał!

– Uuuu! Fiuuu! – odpowiedział pomruk i gwizdy.

– Precz z Kryngałem! Precz z komuną!

– Dość przemówień, dość obietnic, dość zwodzenia! – huczały głośniki. – Chcemy prawdy, chleba i spokoju!

– Precz z Kryngałem! – wołały tysięczne glosy.

Przypadkowy chwyt, który powiódł się Krzysztofowi Grafovi przed Michemem, przez kolejarzy został wygwizdany.

– Niech żyje „Solidarność”! – powtarzane niezmordowanie nie dopuściło sekretarza Kryngała do głosu.

Po wielu wezwaniach komitet strajkowy PKP zgodził się na przyjęcie przedstawicieli władz. Joachimowi Sieczkoniowi, Nikodemowi Bałuchowi i Jarmile Pankracz bardzo zależało na odblokowaniu dworca przed południowym szczytem przewozowym. Inżynier Józef Mułysz ograniczył żądania do zwrotu figury świętej Katarzyny.

– Poszukiwania nie dały rezultatów – powtarzał kapitan Bałuch, wierząc w wymowę wojskowego munduru. – Znajdziemy!

Tymczasem siły porządkowe zdążyły się przegrupować. Na opustoszały plac wjechały dziesiątki wojskowych i milicyjnych ciężarówek szczelnie okrytych brezentami. Część oddziałów ORMO przy wyjściu z dworca utworzyła podwójny szpaler jak na powitanie. Atak kompanii MO nastąpił od strony peronów i tuneli. Zanim zaskoczeni kolejarze zdążyli pomyśleć o obronie, musieli uciekać, gdyż ponownie posłużono się gazem.

– Przez spedycję! – zdołał ktoś wypatrzeć zbawienną drogę odrotu.

Wyposażeni w maski gazowe szturmowcy zdecydowanym parciem do przodu siali postrach i przerażenie.

Zdecydowana większość robotników krztusząc się, płacząc i wymiotując, rzuciła się ku głównym drzwiom wyjściowym. Błyskawicznie usunięto podpory. Wypadali na zbawcze powietrze na wół oszołomieni, bezbronni. W szoku padali na bruk, próbowali się ratować, prosić o litość. Oprzytomnienie przywracały im bolesne uderzenia pał. Szpaler spychał ich ku ciężarówkom, gdzie następne uderzenia zmuszały do ucieczki w przepastne paszcze aut jak w piekielną czeluść.

Przepelnione chlubą socjalizmu samochody czym prędzej odjeżdżały, ustępując miejsca następnym. Przystawały dopiero na nowym poligonie za miastem i ku uciechu konwojentów pozbywały się ładunku. Powrót pieszo do Mieszkowa zajmował nieraz po kilka godzin.

Walczyć trzeba do końca

Paweł ma około 50 lat. I nagle jak grom z jasnego nieba spada na niego informacja, jakiej nikt z nas nie chciałby usłyszeć. Rak. Tak zaczyna się najnowsza powieść Ludwika Lipnickiego zatytułowana „Zachód słońca”. Bohater, Paweł – malarz o światowej sławie, wywodzi się z Borów, z leśniczówki, gdzie kiedyś pracował jego ojciec, teraz gospodarzy tam jego brat. Artystą został dzięki szczęśliwemu splotowi okoliczności. Po drodze przeżył dwa ważne związki, zakończone w dość traumatyczny sposób. A teraz znów staje do walki, być może najpoważniejszej w życiu. Oczywiście, zakończenia nie zdradzę, bo jakaż to by była przyjemność czytania.

A taka przyjemność jest. Bo chociaż temat ważki, to jednak od tej książki trudno się oderwać. Decyduje o tym kilka przyczyn. Po pierwsze, sama narracja poprowadzona w niebanalny sposób. Życie Pawła czytelnik poznaje bowiem w kilku planach czasowych. Jest więc akcja dziejąca się teraz, ale są też liczne retrospektywy. I co zaskakujące, one nie burzą akcji, nie spowalniają jej, wręcz przeciwnie, dynamizują, na zasadzie poetyckiej średniówki. Uatrakcyjnają dramaturgię wydarzeń.

Kolejną przyczyną, która trzyma czytelnika, jest styl, w jakim ta powieść została napisana. Wyraźnie zaznaczone postaci, każda obdarzona własnym charakterem, językiem, sposobem zachowania. Każda na tyle wyrazista, że wydawałoby się, łatwa do przejrzania. No i tu właśnie czai się niespodzianka. Bo jednej z głównych postaci, Zuzanny, jednej z dwóch ważnych kobiet w życiu Pawła, nie da się rozgryźć i dość długo trudno zrozumieć motywy jej działań. Ale autor, na szczęście dla czytelnika, zagadkę rozwikła, w ciekawy sposób zresztą, bez natrętnego tłumaczenia dlaczego tak.

Kolejną ważną sprawą w tej powieści jest język. To elegancja polszczyzna, jaką spotyka się coraz rzadziej. W dobie komputerów i telefonów komórkowych obowiązuje maksymalna skrótowość w wypowiedzi zarówno tej tekstowej, jak i werbalnej. Rządzą nami jakieś „spoko”, „ok”, „nara” i tym podobne straszdyła językowe. W powieści Ludwika Lipnickiego niczego takiego nie ma, jest płynny język, polszczyzna znana właśnie z dobrej literatury czy z TVP Kultura, bo na innych kanałach już jej nie ma.

No i po kolejne, w „Zachodzie słońca” padają bardzo ważne słowa o epikurejskim podejściu do życia, to wykład zarówno wiedzy, jak i intrygujących przemyśleń na temat dnia codziennego, ale też i spraw ostatecznych.

Powieść Ludwika Lipnickiego, po ostatnie wreszcie, daje nadzieję, jest mocnym przekazem – trzeba walczyć do samego końca, bo nikt naprawdę nie wie, co się czai za następnym rogiem ulicy. Nie wolno rezygnować.

„Zachód słońca” to ważna książka, znakomicie napisana i jak już podkreśliłam, mimo trudnego tematu, dająca nadzieję. Rzadki przykład tego, że literatura może być jakże interesującym podręcznikiem, który z mocą podpowiada, jak się zachować, kiedy przychodzi trudny moment. Podręcznikiem atrakcyjnym, a nie nudną cegłą czy wystylizowanym wydumkiem literackim, jakie teraz z niewiadomych dla mnie przyczyn robią karierę. Tę powieść nie tylko warto przeczytać, ją po prostu przeczytać trzeba.

Renata Ochwat

Ludwik I. Lipnicki, „Zachód słońca”, nakładem Wydawnictwa Sonar Literacki i gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Gorzów Wlkp. 2011, s. 152



Zachód słońca

Słońce już zaszło, a oni siedzieli jeszcze wtuleni w siebie. Podczas spektaklu przytulona do jego boku, już nie broniła swoich piersi przed jego pieściami, pozwalała się całować. Tylko natrętne komary burzyły romantyczny nastrój.

– Czy we Francji, ty...
– przez chwilę zawahała się, czy dokończyć pytanie
– masz kogoś? To znaczy...
czy masz tam... kobietę?

– Nie – odpowiedział i odsuwając się nieco, dodał powoli.
– Kiedyś, jeszcze przed wyjazdem do Francji miałem żonę..., ale trwało to bardzo krótko..., i było to tu, w Polsce... Rozeszliśmy się.

Zuzanna milczała wyczekująco.

– A ty...? – chciał ją zapytać, ale nie pozwoliła mu dokończyć, przyciskając wskazujący palec do jego ust, a następnie zachłannie przywierając do nich swoimi wargami.

Oderwał się od niej i powoli wstał. Patrzyła zaskoczona. Podał jej rękę i pomógł się podnieść, a następnie już mocniej chwytając za nadgarstek pociągnął ku sobie.

– Chodź... – wskazał drugą ręką kierunek – ...do mojego pałacu.

Bez żadnego oporu dała się poprowadzić ku chacie jego dziadków. Weszli do środka.

– Ciemno tu – Zuzanna próbowała coś dojrzeć w gęstym mroku.

– Zaraz się przyzwyczaisz – uspokoił ją. – A zresztą, po co nam światło...

Nie ustając w pieścach, powoli zdejmował z niej kolejne elementy garderoby, aż w końcu zupełnie naga ułożył na tapczanie... Był dobrym i delikatnym kochankiem, wiedział, czego i kiedy oczekuje kobieta, i teraz te jej oczekiwania spełniał...

Było już po północy, gdy Zuzanna zmęczona i syta miłością zasnęła. Paweł, ostrożnie zsunął się z tapczanu, wdział spodnie i koszulę i usiadł na progu chaty... Później wiele razy odtwarzał w pamięci ten „pierwszy raz” z Zuzanną.

(...) Opatulona dokładnie kocem podeszła do niego. Przesunął się, robiąc jej miejsce obok siebie. Przysiadła.

– Trochę zmarzłam – poskarżyła się.

Nic nie mówiąc mocno przytulił ją do siebie. Siedzieli tak przez kilka minut.

– Już lepiej? – zapytał, całując ją w policzek.

– Mhm... – było jej odpowiedzią. Uniosła głowę i oddała mu pocałunek.

Znowu trwali w milczeniu.

– Jeszcze nigdy... – zaczęła i zaraz urwała.

Odczekał chwilę i zapytał:

– Co... nigdy?

– Trochę to zabrzmiało nie tak..., ale chcę to powiedzieć...
– znowu przerwała, a Paweł czekał cierpliwie – jeszcze nigdy, naprawdę, nie było mi tak... dobrze. Nie wiedziałam, że można być aż tak szczęśliwą (...) – Ja... Dzisiaj pierwszy raz zdradziłam swojego męża...

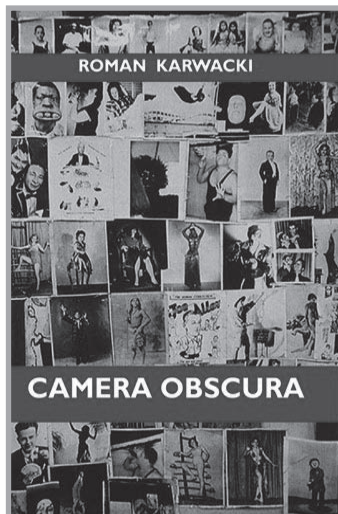
Psia perspektywa

Friedrich Nietzsche w eseju „O prawdzie i kłamstwie w pozamoralnym sensie” stwierdził, że nie sztuką jest schować coś za krzakami, a później to tam znaleźć. Jeśli zatem utworzymy na przykład definicję ssaka, a następnie wskażemy na wielbłąda, mówiąc: „patrzcie, ssak”, wydobywamy prawdę o ograniczonej wartości, ponieważ język, którym operujemy, okazuje się być tylko sztucznym, konwencjonalnym tworem. Ponadto, zdaniem filozofa, obraz rzeczywistości zależy wyłącznie od naszych własnych interpretacji, ale ludzie nie potrafią tego zrozumieć i narzucają całemu światu swój punkt widzenia.

Echa owych teorii bardzo wyraźnie porbrzmiewają w najnowszej książce poetyckiej Romana Karwackiego pt. „Camera obscura”. Już sam tytuł tomu, pochodzący od nazwy otworkowego aparatu, który na przeciwnym do obiektywu ścianie utrwała odwrócony obraz fotografowanego obiektu, sugeruje, że w wierszach poety będziemy mieć do czynienia z pewnego rodzaju odwróconą perspektywą. Rzeczywiście tak się dzieje. Podmiotem lirycznym wielu tekstów jest stary pies spoglądający na świat zmęczonymi ślepiami, mrużonymi w świetle „biednego dnia”. Jego codzienność, choć zimna i „obskurna”, jawi się czytelnikowi jako coś „jedynie prawdziwego”, bo opisywanego przez pryzmat instynktu – intuicji psiego nosa, której odbiorca może całkowicie zaufać. Jakże fałszywie brzmi w tym kontekście ludzki język, roszcujący sobie prawo do jedynie słusznego określenia otaczającej nas rzeczywistości, ukazuje fragment utworu „Myślę, mniemam, myślę”: (...) *Mrówka wybaluszy oczy. Pies ziwnie. Dwunogi udzielił odpowiedzi. Nie wiadomo po co. Nikt przecież nie zna ich języka.*

Karwacki nie poprzestaje jednak na ukazaniu karykaturalności podstawowego narzędzia komunikacji. W „Pożegnaniu z formą”, które można chyba uznać za poetycki manifest, nawołuje do nowoczesnego Armagedonu: odrzucenia wyrazów, tego wstrętnego klekotania i kłopotania w ojczywej mowie, zaś 28 maja każe ogłosić „dniem bez słowa”. Przeniesienie filozoficznej teorii do poezji (korzystającej przecież zawsze z walorów języka) uważam za ciekawy, nowatorski zabieg. Należy jednak pamiętać, iż tego rodzaju przedsięwzięcie nigdy nie może się powieść i Karwacki (podobnie jak wcześniej Nietzsche) wpada w końcu we własne sidła. Krytykując język i namawiając do odrzucenia go, poeta nie jest bowiem w stanie posłużyć się innym środkiem komunikacji niż ów znienawidzony język, inaczej nie zostałaby przez nikogo zrozumiany.

Jakie obrazy rejestruje ta poetycka „Cameraze obscura”? Przeróżne, czego dowodzi choćby wiersz „In vitro”, który ciekawskiemu oku ukazuje zarówno popkulturowe widoczki („Przerwane lekcje muzyki”, pięgi wokół sutka) czy wielkie dzieła malarskie („Śniadania na trawie”), jak i matematyczne rachunki (sześć miejsc po przecinku). Pośród tego zgłędku wyraźnie dominują jednak elementy wanitatywne, takie jak: bielejące kości, ziemia, mięso, a nawet bezpośrednie personifikacje śmierci. Wynika to zapewne z faktu, iż przeważająca część zawartych w książce utworów ma charakter rozrachunkowy. Podmiot liryczny pragnie rozliczyć się z życiem, które przyniosło mu wiele rozczarowań. Jednocześnie nie może pozbyć się kołaczących do jego świadomości myśli o bliskim już końcu. Rozżalenie i rezygnację męczyzny najlepiej oddaje chyba krótkie, fenomenalnie skonstruowane wyznaczenie opatrzone tytułem „Gapa”: *Nie wiem, kiedy straciłem orientację w moim położeniu. [...]Przestałem być przyszłością – kartą przed odkryciem.* Co ciekawe, Karwa-



cki potrafi jednak nieoczekiwanie obrócić swoją gorycz w żart i to właśnie czarny humor stanowi, moim zdaniem, najmocniejszą stroną książki. Poeta chętnie wyśmiewa niektóre aspekty śmierci oraz związaną z nimi katolicką dewocję, tworząc nierzadko naprawdę zabawne wizje. Nawiązuje do zbanalizowanych, infantylnych formułek, każąc spadającemu z okna aniołowi „powiększyć grono aniołków”; zestawia rany boga z sałatą i pomidorami z ogródka, stwierdzając, że wszystkim tym obiektom grozi kosmiczna katastrofa, w końcu „spuszcza cios” na matkę, śpiewającą: [chroń od zguby, gdy zagraża cios!].

Podczas lektury tomu Karwackiego zdecydowanie przeszkadzał mi natomiast brak jakiegokolwiek ujednoczenia formy. Poeta sprawia wrażenie „poszukiwacza”, który nie zdołał jeszcze odnaleźć indywidualnego stylu. Bardzo zróżnicowana struktura wierszy może rozkojarzać czytelnika. Stylistyczne niedopasowanie niektórych tytułów do opisywanej przez nie treści wywołuje zaś u odbiorcy dziwne wrażenie, że został on oszukany, gdyż „nie otrzymał” tego, co zgodnie z zapowiedzią powinien był otrzymać.

Agnieszka Moroz

Teoria strun

Pies człowiek, pisze w ciemnościach. W gwiazdozbiorze psa zamieszanie. Psy czekają. Noc całą ludzie o mniej zwierzęcej naturze śpią, nieświadomi psiej pracy. Niech tak zostanie. Nie budźmy nikogo. Klawisze, ruszając z miejsca jak szybkie windy, zapadają się bez dźwięku. Bezszelestnym ruchem los wywołuje z pamięci podświadome fotografie. Kwant za kwant, foton za foton, pamięć za bit – odpowiedź na wszystko. Przekaz z Gai dociera o świcie. Psy grają na gitarach. Księżyc się uśmiecha.

Świadectwo pochodzenia

Naprawdę wielkie jest to, co nas stworzyło. Jest jednak tylko tym, czemu możemy wyznaczyć jakiś początek. Czciwiele okręgów, kólek, Uroborosa, łączą ten początek z końcem. Bracia i Siostry! Węże nigdy nie gonią za własnym ogonem! Ów znak pochodził od psa! On też, podniósłszy zadnią łapę, wskazał drzewo – za co niesłuszną teraz ponosi karę, skazany na obcowanie z ludźmi i krótkie życie.

Umiłowani! To, co nam się wkrótce objawi, potężniejsze jest od zrodzonego – z niczym się nie łączy, niczego nie uzupełnia, z niczym nie spina. Sobie jest. Gdy swego dokona, nawet pustka nie sięgnie nas swymi chciwymi łapami. Cierpliwe, łagodne i przewyższające wszelki spokój – przyjdzie, dotknie, przemieni. Nie zabierze ani nie odbierze niczego, gdyż niczego nie potrzebuje. Sprawiedliwe, ale trudno nie zauważyć, że tylko dla człowieka dostępne na każde skinienie.

A ty się psie męcz!

Roman Karwacki

Roman Karwacki, „Camera obscura”, Wydawnictwo ZLP i Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2011, s. 56

Wreszcie

Motywy zbrodni opowiedzianych przez Umberto Eco w „Imieniu Róży” było ukrycie przed potencjalnymi czytelnikami legendarnej Księgi Śmiechu. Powieściowi mnisi, zafiksowani w chorym fanatyzmie i rządy władzy nad innymi, nie chcieli dopuścić, aby ktokolwiek dowiedział się, że śmiech jest czymś dobrym samym w sobie, a umiejętność radosnego i zdystansowanego patrzenia na świat to sprawa boska – a nie diabelska. Stąd łańcuch zbrodni wobec tych, którzy czytali Księgę Śmiechu lub choćby wiedzieli o jej istnieniu. Dlatego też inkryminowaną księgę ukryto, a w końcu spalono. Wszystko po to, aby móc poddać permanentnej kontroli życie wszystkich mieszkańców klasztoru, a także jego poddanych. Cała rzecz została oczywiście wymyślona przez pisarza. Jednak doskonale oddaje mechanizm zawłaszczania ludzkiej wolności przez fałszywy dogmat. Zagadnienie dotyczy wielu płaszczyzn życia – zaś nas interesuje głównie nawa literatury. Odpowiedź na pytanie: „Kto nam ukraść Księgę Śmiechu?” to zarazem odpowiedź na pytanie: Dlaczego w skali całej polskiej literatury powstaje tak niewiele znaczących, a przy tym lekkich, przyjemnych w lekturze dzieł kupletowo-satyrycznych? Kto zatem ukraść Księgę Śmiechu współczesnej polskiej literaturze? Śmiem twierdzić, że złodziei jest dwóch. Jeden nazywa się „Strach”, drugi ma na imię „Hipokryta”. To oni zabijają wolność wewnętrzną pisarzy i stąd tak niewiele literatury rozweselającej i dydaktycznej zarazem. Zacytujmy za biskupem Ignacym Krasickim: *i śmiech niekiedy może być nauką / jeśli się z przyzwyczajenia nie z ludzi natrzęsa / i żart dowcipną przyprawiony sztuką / zba wienny kiedy szczybie a nie kąsa* („Monachomachia”). Nie należy jednak pograżać się w czcigodnym smutku po „świętej pamięci” humorze i swobodzie – mam na myśli wolność. Przed czterema laty na łamach „Pegaza Lubuskiego” 6 (35) w felietonie ukazującym syndrom Księgi Śmiechu napisałem: *na naszym gorzowskim gruncie powstają przednie satyry dowodzące kunsztu i uczciwości intelektualnej autorów*.

Jakże się cieszę, że nie są to li tylko słowa. Oto w moich rękach znalazła się najnowsza książka poetycka gorzowskiego satyryka i kuplecisty Ferdynanda Głodzika „Własnym nosem” edytowana przez Wydawnictwo „Sonar Literacki” w Gorzowie Wlkp. i Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp. pod redakcją Krystyny Kamińskiej. Wydanie otrzymało podwójny prolog autorstwa Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego i Jana Zdzisława Brudnickiego. Łączkowski komplementuje autora tomiku: *...te wiersze mają dobre serce*. Podkreśla, że Ferdynand Głodzik wykazuje się obyciem literackim, nawiązując do klimatów wielkich polskich poetów uprawiających ten rodzaj (pozornie) lekkiej poezji satyryczno-kupletowej. Brudnicki docenia styl mentalny Ferdynanda Głodzika: *wreszcie ktoś się odważył widzieć w ten sposób*.

W jaki sposób odważył się widzieć autor prezentowanego tomu? Można by teraz policzyć sylaby, zestawić rymy, dopasować do odpowiednich matryc – słowem teoria literatury, a dokładniej poetyka. Jednak powstrzymam się od, przyznaję, nie najciekawszych analiz. Ferdynand Głodzik to kupiec i rymiarz z krwi i kości, a to, że rymy u niego się zgadzają i wersyfikacja jest zgrabnie złożona, to po prostu zasługa jego talentu. Te pozornie lekkie, a zarazem melodyjne utwory ukazują ciepły, ale też krytyczny ciut, ciut dystans do zapoznanej rzeczywistości. Jak zauważył Łączkowski, ten poeta: „nikogo nie poucza”, jednak akcentuje te obszary naszych realiów, które, jego zdaniem, nie są do zaakceptowania:

*Chociaż się groszem publicznym szasta
i górnolotne pomysły wspiera,
to nadal chlubą naszego miasta
zostaje stary, chudy literat.* [Własnym nosem]



Głosem jakby przyciszonym, bez krzyku, jakby patrząc przymrużonymi oczami zza swoich słynnych Głodzikowych okularów. Bo taki też ten Ferdynand jest. To człowiek skromny, cichy i pogodny, siedzi na przykład na promocji „Pegaza Lubuskiego”, oczęta zmruży, słucha, co mówią szanowni Twórcy, uśmiecha się... i myśli. Pewnie później z tego jeden czy drugi kuplet wyniknie. Aż strach się narażać. A dodać należy, że autor książki „Własnym nosem” jest spostrzegawczy i potrafi nawet wieszyczyć. Tu wieszyczył kryzys i, niestety, wywieszyczył:

*Czerpiemy siłę więc mocarną,
z tego co mamy za pół darmo;
myśląc u czasów nowych proga,
jak ta taniocha jest nam droga.* [Tani wierszyk]

Niby drobiazg, a jak celnie powiedziane – prawda? Głodzik jest bystrym recenzentem tego co słabe w systemie demokratycznym, przypomina mniej ważnym pt. Obywatelom, że obietnice polityków... to raczej tylko obietnice. Rzecz nie polega na tym, żeby krytykować dla krytykowania tylko. To byłoby poniżej poziomu tego satyryka. Uśmiechnięty, przypomina czytelnikowi jak nauczyciel nieuważnej dzieciarni o mechanizmach rządzących na przykład demokracją:

*Giną stresi, patologie i choroby,
naszą chlubą jest kultura i oświata.
Po recesji zapanuje znów dobrobyt!
Poczekajcie jeszcze tylko cztery lata!* [Od Buzka do Tuska]

W tych satyrach nie ma głupawego rechotu klasy „B”, że się „baba wywalila”. Mamy wyraźnie podejmowaną próbę definiowania tego, co staje się naszym własnym udziałem, i jeśli czasem nie chce się śmiać to dlatego, że uświadamiamy sobie, że świat obiecany miewa się nijak do świata, w którym żyjemy. A takie konstatacje to już filozofia. W tym przypadku podana w sposób zrozumiały i lekkostrawny dla zmęczonych codziennością umysłów.

Obok aspektów społeczno-politycznych w omawianym zbiorze satyr i kupletów odnalazłem wiersz, który dowodzi romantycznej natury Ferdynanda. To wiersz o szewczyku, który – jak zrozumiałem – jest alter ego poety. Jaki ciepły jest ten literacki dyskretnie żartobliwy autoportret:

*Naprawiam pięty i podeszwy,
przyszywam kliny oraz łatki.
To jest ostatni taki szewczyk
i nie ma drugiej takiej chatki.* [Szewczyk]

Romantyczny i marzący. O czym marzy nasz gorzowski autor? Jakie są jego pragnienia? Otóż swoimi marzeniami zjednuje serca czytelników, bo pragnie tego, czego chcielibyśmy chyba wszyscy:

*Nie było stłuczek, ni kolizji,
patrol za nikim nie gwał w pościg.
Kiedy nareszcie w telewizji
usłyszę takie wiadomości?* [Optymistycznie]

Nasz pisarz to mieszczanin – z pewnością nie rewolucjonista. To uspokaja odbiorcę, nastawia pozytywnie do tej twórczości i do tego Autora, wszak większość z nas niezależnie od miejsca zamieszkania ma mieszczkańskie dusze (nierządkiem bywa, że drobnomieszczkańskie).

Nie można pominąć klimatów literackich, czyli wierszy, które autor zatytułował „według” Broniewskiego, Tuwima, Przybory i innych. Malkontenci będą siali zarzuty; ale, ale, przecież to przepyszna zabawa słowami. Malkontentom pojęcie „zabawa” jest obce ex definitione. My jednak sycimy się wariantami tekstów i pomysłowością Głodzika – ot co.

Zbiór wierszy, satyr, bajek, kupletów, zabawy słowem w manierze wieszyców, które zaprezentował nam Ferdynand Głodzik w tomie „Własnym nosem”, jest obszerny. Cała książka liczy osiemdziesiąt stron. W powyższym szkicu mogłem pozwolić sobie na prezentację wybranych fragmentów utworów i najistotniejszych, moim zdaniem, aspektów idei poetyckiej tego autora. Przewrotny to, ale i łaskawy dla czytelnika filozof – kuplecista. Oglądanie świata przez jego okulary to przyjemna i, bywa też wesoła, przygoda. Bo takie okulary są potrzebne. Patrzymy razem z Głodzikiem na ten świat i cieszymy się, że możemy to robić z jego pomocą, „dobrze, że ktoś odważył się widzieć w ten sposób”.

Marek Grewling

Ferdynand Głodzik, „Własnym nosem”, Wyd. ZLP
i Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2011, s. 88

Wiza do Nowego Jorku

Z pewną obawą, jak się okazało później niepotrzebną, wzięłam się za czytanie „Wizy do Nowego Jorku” ... czyli kolejnej książki Anny Strzelec. Dwie pierwsze recenzowałam w sierpniu 2010. Dlaczego się bałam, nie wiem, bo dane mi było „orbitować” przy jej powstawaniu gdzieś tam w „netowej” przestrzeni. Na efekt końcowy zaś czekałam jak na papierowego motyla, który przyleci do mnie i zostanie, by cieszyć oko i serce.

Może tego się bałam, czy będzie dostatecznie barwny... Jest, to zapewniam.

Książka mieni się kolorami uczuć, emocji, wrażeń. Jest proza życia i jego poezja (także w wierszach autorki tu zamieszczonych), jest i humor, i kilka smakowitych kąsków (oraz przepisów na nie – łosoś w papilotach – mój faworyt), garść odniesień literackich, filmowych, muzycznych (Brian Morton, Anne Rivers Siddons, Audrey Hepburn i inni). Dodatkowo ta „szczypta metafizyki”, którą ja osobiście to nawet aż do czkawki mogę, ale to już na marginesie.

Autorka w kilku zdaniach pisze o „Wizie” ... tak: „Zawiera historie związków i miłości: tych prawdziwych i pseudomiłości, toksycznych, bo internetowych. Opowiada o podróżach moich bohaterów, rozstaniach i przesłaniach z zaświatów... namiętności, przestępstwach, zdradzie i niewyczerpanej nadziei...”

A fabuła w skrócie, jak zwykłam mawiać: Leonia główna bohaterka, to prawie „pięćdziesiątka”; po przejściach, przy tym mama, babcia nawet, ale wciąż jeszcze piękna także wewnątrz. Na tyle zaś samotna, by marzyć o innym, lepszym życiu z kimś, kogo będzie kochała na tyle mocno, by zostawić wszystko co znajome i zaczynać na nowo życie. Co prawda, Ameryki nie odkrywa w tej Ameryce, do której podąży za jednym Panem W. Dużo spraw zmienia tam swoje oblicze, **nawet na czarne** – dosłownie! Wiele tajemnic z przeszłości się wyjaśni, będą nowi ludzie, i lepsi, i gorsi, nowe miejsca ciekawe i piękne... a miłość, na pierwszy rzut oka może mieć nawet kolor fioletowy.

Każdą z książek Anny określiłabym spontanicznie po prostu tak: **Tylko nie życz mi spełnienia marzeń** – Odwaga, by napisać o tym, co boli, i nie tylko, i co spać nie pozwala. **Druga pora życia...** – Konsekwencja, by to, co wyżej opisane, zakończyć. **Wiza do Nowego Jorku** – Talent, by pokazać co tak naprawdę.

No właśnie.

Elwira Izdebska-Kuchta

Anna Strzelec, „Wiza do Nowego Jorku”, Wydawnictwo ZLP i Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2011, s. 156



– **The third cabin**, powiedziała blondynka w okularach obsługująca zabieg. One, second, third, odliczyłam wejścia do pomieszczeń, szybko odsoniłam zasłonę i oślepią liliowym światłem stanęłam jak wryta. W aureoli fioletowo-niebieskiej poświaty siedział na wprost mnie facet i wyglądał jak... Christmas Angel!

Jane parsknęła wesoło.

– Jego włosy były srebrno-liliowe, a opalone ramiona prawie kobaltowego koloru. Wszystko to dojrzałam w mgnieniu oka, mamrocząc „sorry” i wiedząc, że powinnam wyjść, zamiast stać i gapić się na niego jak nastolatka. A on powiedział „hello”. W tym momencie zegar odmierzający czas zabiegu zaterkotał i lampa sollux zgasała. Anioł wstał.

– Szczupły?

– A widziałś grubego anioła?

– Wstał i czar prysł? – Jane wyraźnie bawiła się jej opowieścią.

– Będziesz się wyśmiewać, to ci nic nie powiem.

– Oj, gadaj, proszę.

– Mężczyzna uśmiechał się widząc moje zażenowanie i staliśmy tak naprzeciw siebie. On, dużo wyższy ode mnie, powtórzył „hello”, a potem „how do you do?”, jakbyśmy się już znali. Pomyślałam, że Amerykanie są śmieszni w swojej bezpośredniej wylewności, bo co go obchodzi, jak ja się czuję. Ale podziękowałam i klapnęłam na jego miejsce przed lampą. Teraz na mnie przyjdzie kolej, aby zagrać anioła. Czy mogę równie atrakcyjnie wyglądać? Blondynka powinna przyjść i włączyć dla mnie lampę, ale nikt się jeszcze nie pokazał, a on nie wychodząc z kabiny, która stała się na moment naszą wspólną, założył na siebie t-shirt w biało-żółte paseczki i polo koszulkę, w której było mu bardzo do twarzy. Półdługie, lekko szpakowate włosy ściągnął z tyłu gumką. Potem podszedł do krzesła i podał mi rękę.

– Nie powinien, facet nie wyciąga pierwszy – Jane uśmiechając się obierała mandarynkę.

– Spozstrzegawcza jesteś, ale czy musisz mi przerywać? Powiedział: – Jeremi. A ja pomyślałam: – Coś takiego? To imię zawsze mi się podobało i gdyby zamiast Iwony przed laty urodził mi się syn, nadałabym mu je z pewnością. Ponieważ moment wyglądał na oficjalne przedstawienie się, więc wstałam mówiąc: – Leonia. A on, że mu miło. Powiedział po polsku! Z wrażenia osunęłam się ponownie na krzesło. Na to weszła blondynka w okularach, aby włączyć moją lampę. – Mister Morelly, see you, tomorrow. – Yes, miss Kathy – odpowiedział, a ona zasunęła moją zasłonę, mówiąc: – Fifteen minutes.

– I co? – Jane podsunęła mi kawałeczki mandarynki na miseczkę.

– Nic, musiałam zdjąć wreszcie bluzkę, mając nadzieję, że nikt nie przeskodzi mi w nagrzewaniu mojego bolącego karku. Mało romantyczne, prawda?

– Nie przesadzaj. Jemu też coś było. Nie przyszedł się przecież opalać. I co dalej z Morelowym?

– Nic, ja tomorrow, on tomorrow. Zobaczymy.

– Myślałam, że może poczeka na ciebie.

– To byłoby zbyt piękne, cholernie mi się spodobał.

– Adrenalina ci skoczyła. Widzę, że cios był silny, ale nie śmiertelny.

O którym z nich mówi Jane? Czy lekarstwem na zablźnienie rany może być nowa znajomość?

– Chodź kochana, co ma być, to będzie. Zjedz ten owoc do końca i zrobimy coś dla siebie. Coś słodkiego, przyjemnego...

– Co masz na myśli?

– Maseczkę! Miód, surowe żółtko, kilka kropelek cytryny, chcesz? – Jasne. Kto by nie chciał? (...)

Zbigniew Murawski

Mucha

co to za stwór ... ot taka mucha
natrętnie fruwa przechera
kiedy przysiądzie to tylko słucha
a potem łapki zaciera

ma silne nerwy ten co ją znosi
żeby nie palnąć gazetą
ta jak się dorwie „zaraz” przenosi
i nie jest to jej zaletą

bydłę na skrzydłach lata bez sensu
nasra na wszystko... albowiem
na portret przodka i coś z kredensu
bo tylko szkodzić ma w głowie

ale raz jeden zda się potrzebnym
większy jest zysk niżli straty
kiedy odwiedzi durnia łeb zgrzebny
dwie sprawy na raz można załatwić :))
... jednym walnięciem łopaty...

**Fraszki krótkie**

Pleśń
Drzemie
w dżemie

Chłód
Polize
neglize

Piwo
Bursztyn w pianie
na sikanie

Rękawiczka
Skóra
na pazura

Głodówka
Sahara
w garach

Aresztant
Siedzi
po spowiedzi

Księgowa
Od rana
wyrachowana

Stanik
Podnosi
zwiszy Zosi

Aukcja
Raczy
zbieraczy

Patefon
Starych pieśniarzy
odsmaży

Strażak
Syrena śpiewa
a on olewa

Kominiarka
Kojarzy
zadymiarzy

Ferdynand Głodzik

Krystyna (13 marca)

Gdy kobieta lubi wielkie
kapelusze,
Gdy spogląda za żupanem lub
kontuszem,
Jeśli lubi ekskluzywne makijaże,
Nie chce ani trochę utyć, ni się
starzeć...

Gdy zażąda przy kolacji
lampki wina,
Tą kobietą na sto procent
jest Krystyna!
Bo Krystyna zwykle duszę
ma artysty.
(Napotkałem w życiu kilka
takich Krystyn).

Kiedy tylko ktoś ożeni się
z Krystyną,
Jego troski i kłopoty
szybko miną.
W domu zawsze będzie czekać
pełna micha,
A on będzie mógł na żonę
mówić Krycha.



Przesyłam informację o zjeździe
Krystyn. Proszę kontaktować się
z organizatorami: kles@autograf.pl,
a także powiadomić inne Krychy
i osoby zainteresowane

Zbigniew Murawski

Dylemat

już czas jakiś towarzystwo
dzieli awantura
które pierwsze
na świat przyszło
czy jajko? czy kura?

pierwsze jajo zda się musi
być załączkiem życia
ale jajo kura znosi
pewne jest nadzwyczaj
żeby kura jajo zniosła
musi z jaja powstać
a to jajo znowu z innej
kury się wydostać

jednak kury o wypowiedź
jakoś nikt nie prosi
może ona coś podpowie
milcząc – jaja... znosi



Ortopeda i pies
Swoje radości
czerpią z kości

Alkohol
Rano dowodzi
że szkodzi

Pies
Nie stroni
od woni



Czasopismo literackie pod
auspicjami WiMBP i ZO
ZLP w Gorzowie; red. nac.: Ireneusz K. Szmidt, tel. kom. 501 520 227, tel/
fax 95 729 50 80; sekretarz red.: Danuta Zielińska; współpraca: Krystyna
Kamińska, Marek Grewling, Beata P. Klary. Zdjęcia: Piotr Miller (rzeźby
Gąsiora), I. K. Szmidt, Z. Olchowik, archiwa wydawcy i autorów. Projekt
okładki: Zbigniew Olchowik.
Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Z. Herberta,
ul. Sikorskiego 107, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl
i ZO ZLP w Gorzowie, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp.
e-mail: wag.arsenal@wp.pl; e-mail: zlp.gorzow@wp.pl;
e-mail: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp.gorzow.prv.pl;
Skład komputerowy: Daniel Besta i I. K. Szmidt.